ŚWIĘTA. A WIĘC NUMER RELAKSOWY

Na życzenie Czytelników Nienacki i seks - str. 7

Finał afery w węgierskim „Toto" - str. 9

Lubelskie misski w sukienkach i bez... - str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 9 (802) 22 kwietnia - 5 maja 1984 CENA 10 ZŁ

Z księgi humoru ludowego - str. 6

1000 godzin non stop Rekord studenckiego Radia Centrum - str. 3

Srebro w gaśnicy - str. 10

Pogodnych Świąt życzy „Kamena"

Henryk Makarski

MIŁOŚĆ

i znów powracam — maliny w słoju kipią
przed drzwiami strząsam z ubrania fałszywe uśmiechy pętaków
wycieram buty — wszelkie brudy zostawiam za progiem
i wchodzę tam — gdzie ktoś na mnie czeka
i znów powracam — synek ze szczęścia płacze
rozkwitają zielenią obite na zakrętach oczy
córka do mnie się tuli — żona oddycha inaczej
i to jest w moim świecie najpiękniejszy erotyk

Grzegorz Pernach

DWIE PORY ROKU

wielka noc i wielki dzień
martwi wstaną poeci
krew nasączy ich ciało
jednym tylko wyrazem

wiosna
wiosną wcześniej poranki
wiosną później wieczory
ziarno ziarno jesieni
wiosną nabrzmiewa rosą
wiosna aż do jesieni
jeszcze dłużej do zimy
kiedy śniegu pierzyna
nogi północny biegun
przykryje oziminę
wtedy mówimy zima

z notatnika

2 IV. Nakładem „Czytelnika" ukazały się rozmowy z Marią Kuncewiczową w wyborze i opracowaniu (+ posłowie) Heleny Zaworskiej. Książka zawiera również dwie rozmowy z pisarką oraz z pisarką i jej mężem, niedawno zmarłym — Jerzym, które zamieściła „Kamena". W pierwszym wypadku rozmawiała z Marią Kuncewiczową Halina Chabros (r. 1974), w drugim — Mirosław Derecki (r. 1977).

Najdawniejszą w książce jest rozmowa przedrukowana z „Kultury" (1932 r.!). Maria Kuncewiczowa mówi do nieznanego z imienia i nazwiska dziennikarza tego pisma:

— [„Miłość panieńską" pisałam] *bardzo impulsywnie i bardzo krótko. 3 dni i trzy noce. Dopiero potem przyszły poprawki i przeróbki.*

Młodzi, co wy na to?

3 IV. W „Tygodniku Chełmskim" (nr 13): „DRN czyli Domalewskiego Rewelacja Naukowa". Domalewski tak się przedstawia:

„Veritatolog Edmund Domalewski, ul. Piotra Skargi 22-100 Chełm. Wie, jak powstała Ziemia i Życie na Ziemi. Zna miejsce i sposób pojawienia się pierwszych ludzi na Ziemi oraz przyczyny i kierunki rozejścia się ich. Zna język kanonów, poprawnej mowy ludzkiej. Zna starożytny pierwowzór współczesnych religii. Zna wymiar i podział metra przyrodniczego. Operuje oktatowym systemem matematyki. Czyta kilkadziesiąt rodzajów pism starożytnych, w tym pismo klinowe i hieroglify egipskie — rewelacja (*rewelacja wydrukowana kursywą, więc nie wiem, czy to Domalewski, czy autor artykułu o nim — Piotr Wierzejski*). Zna miejsce i przyczyny zatopienia Atlantydy. Zna własności sił rządzących kosmosem. Zna kształt i wymiar fizycznego kosmosu. Znał sposób rozwiązania konfliktów międzynarodowych. Prowadzi bezpłatne seminaria domowe i udziela odpowiedzi korespondencyjnie".

Podałem prawie dokładny adres (za „Tygodnikiem Chełmskim", ale ten z kolei zacytował wizytówkę Domalewskiego), więc sądzę, że otrzyma on dodatkowe listy z całej Polski. Listonosz go zresztą zna. Wierzejski stwierdza m.in.: „Obok programowej „Veritatologii" napisał Domalewski 12 referatów. W jednym z nich pt. „Czasoprzestrzeń" zupełnie inaczej, oryginalniej, ujmuje teorię względności. W innym — „Czysta mowa" — o kanonach dialektycznych — odkrywa naturalne właściwości dźwięków w mowie ludzkiej. W konkluzji postuluje odejście w naszej współczesnej polskiej mowie od dźwięków nienaturalnych — „przekręcanych" głosek typu ż, ć, ą oraz powrót do czystej łaciny — 6 samogłosek i 18 spółgłosek".

„Z medytacji — pisze dalej Wierzejski — nad właściwościami sił rządzących kosmosem wynika krytyka dotychczasowych teorii ruchu ciał niebieskich. Zarówno epicykliczna wersja Ptolemeusza orbitalna Kopernika czy eliptyczna Keplera są to rzeczy archaiczne".

Domalewski ma wykształcenie średnie techniczne. Pracował jako nauczyciel zawodu w szkole średniej, ostatnio pracuje jako malarz budowlany przy PKP w Chełmie.

Tekst o Domalewskim ukazał się w „Tygodniku Chełmskim" z dnia 31 marca. To jednak nie jest tekst primaaprilisowy: cytowaną wizytówkę mam od połowy marca. Zastanawiałem się nawet, czy do Domalewskiego nie pojechać, ale uprzedził mnie Wierzejski. Teraz wiem, że już go raczej nie odwiedzę, bo do veritatologii nie dorosłem.

A swoją drogą chętnie bym usłyszał, co sądzi sam autor o bohaterze swej publikacji?

Z Chełma wywodzi się wielu ludzi zdolnych (choćby niżej podpisany!), ale żeby aż tak? Domalewski twierdzi, że „po naukowym opracowaniu swojej teorii ruchów planet i innych ciał niebieskich przekazałem skrypty do Polskiej Akademii Nauk. Na najbliższym posiedzeniu Głównej Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Naukowego przy PAN zostaną one dokładnie zbadane i omówione. Ciekawe, jaki będzie wynik? Co mi odpowiedzą?"

Ja też jestem ciekawy i chętnie skorzystam z zaproszenia na to posiedzenie. Trzymam kciuki za rodaka!

Żałuję tylko, że w wizytówce pisze, iż tylko **znał** sposób rozwiązania konfliktów międzynarodowych. Używa więc czasu **przeszłego**. Czyżby obawiał się zaproszenia na sesję ONZ?

4 IV. Odnotowuję za „Tygodnikiem Powszechnym" z 1 kwietnia, że jury konkursu Episkopatu Polski na **dzieło** literackie (w składzie: Paweł Hertz, Anna Kamieńska, Artur Międzyrzecki, ks. Wiesław Al. Niewęgłowski, Jerzy S. Sito, Jerzy Zagórski i ks. Jan Twardowski — przewodniczący) przyznało I nagrodę (100 tys. zł) w dziale prozy Bohdanowi Królikowskiemu z Lublina za pracę „Opowieść jasnogórska". Wyróżnienie (20 tys. zł) otrzymał m.in. Kazimierz Braun z Wrocławia. W dziale dramatu wyróżnienie (jedyne, a nagrodami też nikogo nie uhonorowano) otrzymał Zbigniew Strzałkowski z Lublina. Gratuluję, zwłaszcza Bohdanowi, aczkolwiek boczy się on na „Kamenę", Ja jednak nie jestem zbyt pamiętliwy!

11 IV. Narzekamy wszyscy (ja też) na podwyżki. Nie wiem, czy to może być jakąś pociechą, niemniej warto odnotować pewne fakty. Otóż w Jugosławii wczasy nad Adriatykiem zdrożały w tym roku (w stosunku do poprzedniego) od 40 do 100 proc. „Borba" pisze, że doba w hotelu wraz z wyżywieniem kosztować ma od 1200 do 3500 dinarów. W okolicach Szibenika, w Vodicach, turysta zapłaci za nocleg ze śniadaniem — 1690 dinarów, a jeśli zechce mieć pełne wyżywienie, to 2170 dinarów. Podwyżka nastąpiła również w kwaterach prywatnych. W takiej np. Jelsie cena jednej doby wynosiła w ub.r. 570 dinarów, w tym zaś wzrosła do 950—1005. Trzyosobowa rodzina (zmotoryzowana) zapłaci za nocleg na campingu (mając własny namiot) 700 dinarów (w ub.r. — 200 dinarów).

W Jugosławii byłem dwa razy służbowo, ostatnio — w 1972 r., a więc przed 12 laty. Pamiętam, że za dwuosobowy luksusowy pokój w Krajnie pod Lubljaną zapłaciliśmy z Wojtkiem Bielżyńskim coś ok. 180 dinarów. Cena ta wydała nam się zbyt wysoka, toteż następnego dnia przenieśliśmy się do gorszego hotelu, zaoszczędzając połowę tej kwoty...

Dla lepszej ilustracji podam jeszcze, że średni zarobek miesięczny wynosi obecnie w Jugosławii 16 200 dinarów, ale... Na ogólną liczbę prawie 6 230 000 zatrudnionych w tym kraju ponad połowa zarabia mniej niż wynosi średnia krajowa. 3 625 000 zatrudnionych ma miesięcznie od kilku do 16 tys. dinarów. Do 6 tys. dinarów miesięcznie pobiera 25 tys. osób. Są to oficjalne dane Związkowego Urzędu Statystycznego.

13 IV. Na sąsiedniej stronie „Kameny" Waldemar Piasecki pisze o rekordzie (1000 godzin non stop) studenckiego Radia Centrum w Lublinie. Postanowiłem tekst wydrukować, aczkolwiek nie należałem do entuzjastów tej inicjatywy studenckiej. Po prostu uważałem, że noc jest (przede wszystkim!) do spania albo (no, niecała!) do studiowania skryptów. Niemniej nie może być tak, by pismo prezentowało jedynie poglądy redaktora naczelnego, który swoje lata ma i zapewne nieco zeskorupiał. W tym miejscu pisałem już zresztą w 1981 r., że każdy podpisuje swój tekst i za niego odpowiada, co wcale nie oznacza, że ja osobiście zdanie mam takie samo. Podkreślam, że pisałem to w 1981 r. dziś zaś w pełni podtrzymuję.

Gdy już mowa o studentach... Pewien zespół artystyczny w Lublinie święcił właśnie pięciolecie swego istnienia. Ładnie, że kilka lat działa, ale rozśmieszyło mnie powołanie z tej okazji specjalnego Komitetu Honorowego z wysoko postawionymi osobami. Przecież to normalna prowincja-noc! (Czechowicz). Znam jubileusze ćwierćwiecza i to poważnych instytucji — tam nie było nawet Komitetów Niehonorowych! Nie wpadajmy w przesadę, bo wpadamy w śmieszność!

A swoją drogą „Kamena" powinna mieć teraz jubileusz co roku! Przypominam, że we wrześniu mija nasze 51-lecie!

14 IV. Kibice piłkarscy byli pełni zawodu, kiedy przed tygodniem Motor na własnym boisku zaledwie zremisował z Bałtykiem, tenże jednak Bałtyk pokonał u siebie wysoko notowanego Lecha i to w stosunku 3:1. Tymczasem dzisiaj Motor zremisował na wyjeździe z Zagłębiem Sosnowiec, tym samym Zagłębiem, które przed tygodniem wygrało w Warszawie z Legią. Nie jest więc tak źle!

W lidze angielskiej dwie niespodzianki: Stoke wygrywa z Liverpoolem, a West Ham przegrywa (u siebie!) z Sunderlandem. W sezonie 81/82 Liverpool wygrał z tymże Stoke (również na wyjeździe) aż 5:1!

15 IV. Kazimierz Koźniewski pisze na łamach „Prasy Polskiej" (nr 3): „Przed paroma miesiącami miałem możność rozmawiania z kilkoma studentami przygotowującymi się do zawodu dziennikarskiego. Byłem przerażony! Niektórzy z tych młodych ludzi uczyli się tego zawodu, chcieli — chyba chcieli — być dziennikarzami, a równocześnie ich poglądy polityczne były w rażącej, skrajnej sprzeczności ze stanowiskiem pism i gazet, w których po skończeniu nauki uniwersyteckiej przyjdzie im szukać pracy. Zastanawiam się, po cóż ci młodzi ludzie marnują swój czas na naukę akurat w tego rodzaju szkole zawodowej.

Etos zawodu dziennikarskiego to etos służby ideowej, służby politycznej. I to — i tylko to — jest podstawowym przepisem etyki dziennikarskiej..."

Znam dziennikarzy, którzy chętnie podpisują imieniem i nazwiskiem te artykuły, w których atakują przedstawicieli władzy, za co w pewnych kręgach czytelniczych zyskują poklask. Kiedy jednak przyjdzie im podeprzeć władzę (ostatecznie są konkretne plany redakcyjne, które muszą realizować), wówczas pod ich tekstami widnieje zmyślone imię i zmyślone nazwisko, inaczej mówiąc — pseudonim. W światku dziennikarskim to się nie ukryje, choć tzw. ogół może sądzić, że objawiły się nowe talenty (prorządowe).

Jak nazwać taką postawę?

16 IV. Pan Jacek Żukowski z Jeleniej Góry pisze w liście do redakcji, że w jego mieście nijak nie może zdobyć (tak — pisze **zdobyć**!) „Kameny". Nic dziwnego! Spojrzałem do „meldunku operatywnego o nadziałach i zwrotach" naszego pisma. Numer czwarty dotarł do Jeleniej Góry w liczbie 41 egzemplarzy, a numer piąty również w tej samej. Nie sprzedano jednego egzemplarza nr 4 i dwóch nr 5. Bezzwrotowo rozeszły się „Kameny" w województwach: piotrkowskim, kaliskim, konińskim, pilskim i gorzowskim, choć nadział na te tereny jest, co trzeba podkreślić, więcej niż minimalny.

Z „Kameną" jest tak, że dozwolone zwroty wynoszą 20 proc. Taki np. „Ruch" katowicki otrzymał 247 egzemplarzy nr 4. Nie sprzedał 10 egz., czyli procent zwrotów wynosi 4,04 i tyleż samo egzemplarzy nr 5 przy procencie zwrotów 6,07. Mamy więc rezerwy? Mamy i trzeba będzie działać, aby je wykorzystać!

Teraz pragniemy szerzej wejść na rynek radomski, województwa bezpośrednio sąsiadującego z lubelskim. Byłem właśnie w Radomiu, przeprowadziłem serdeczną rozmowę z redaktorem naczelnym „Tygodnika Radomskiego": Mieczysław Kaca obiecał nam pomóc, bo ostatecznie nie jesteśmy dla niego konkurencją. Zachęciłem kolegów z „Tygodnika", aby z nami współpracowali, nadsyłając takie materiały, które i w Lublinie będą cieszyły się poczytnością.

Nadeszły czasy, kiedy trzeba walczyć o Czytelnika, na rynku konkurencja jest duża. Niech się więc nasi starzy Czytelnicy nie dziwią, że dajemy krzykliwe tytuły i tzw. „zajawki" na pierwszej stronie „Kameny", a także sięgamy do tematów, które nie leżały w profilu dotychczasowym naszego pisma. Redaktor naczelny tygodnika „Tak i Nie" (Katowice), Kazimierz Zarzycki uważa („Prasa Polska" nr 3), że „klasyczny, niejako, polski typ tygodnika społeczno-kulturalnego chyba się przeżył (szczególnie w jego regionalnej formie) i warto z tej konstatacji wyciągnąć wnioski do praktycznego działania". „Nie dzielimy — stwierdza on — tematyki na lepszą i gorszą. Na „sieczkę" i materiały o walorach poznawczych. Nawet te pozycje, które w wielu redakcjach nazywa się magazynowymi, mają służyć kulturze obyczaju, nowoczesności myślenia, wreszcie relaksowi lub informacji. Nie uważamy drukowania takich pozycji za działalność naganną lub co najmniej wstydliwą".

Ja też. Powiem więcej: chciałoby się drukować takie materiały, które my sami, w redakcji, czytujemy z przyjemnością. Chciałoby się, fakt, ale przecież nie możemy całkiem rezygnować z tekstów poważniejszych, nie możemy wyrugować ambitniejszych prób literackich, chociaż zdajemy sobie sprawę, że pewne utwory przeczyta co najwyżej setka odbiorców. Rzecz w tym, aby zachować odpowiednie proporcje, a to jeszcze nie zawsze wychodzi, zwłaszcza, że choroby koszą nasz zespół, w którym średnia wieku przekroczyła czterdziestkę i nie każdemu chce się już pracować na pełnych obrotach (nie każdy zresztą może...). Pragnęlibyśmy — a pisałem już o tym — by na naszych łamach ukazywało się więcej tekstów samych Czytelników. Chodzi tu nie o teksty literackie (teczki są pełne), ale takie teksty, w których znalazłaby się aktualna problematyka. Nie chcemy unikać tematów kontrowersyjnych, ale też nie chcemy, aby one dominowały. Dobre rady też sobie cenimy, a anonimy wprawdzie wrzucamy do kosza, ale przedtem je czytamy. Niemniej tzw. „łańcuszków św. Antoniego", wysyłanych w dodatku w kopertach bez znaczków pocztowych (czyli musimy płacić) mamy już dosyć i takich listów po prostu brać od listonoszki nie będziemy. Nakantowano nas trzy razy i to wystarczy.

Piszę o tym wszystkim szczerze, bo zależy mi, aby z Czytelnikami, których szanuję, zachować więź serdeczną. Dzięki nim przecież „Kamena" może po prostu wychodzić!

W tym numerze spemiliśmy prośby kilku Czytelników i wydrukowaliśmy fragment powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". Nienacki zarzucił nam w „Odgłosach", że tego fragmentu nie drukujemy, ponieważ Daniel Passent zjechał jego powieść i „Kamena" przestraszyła się. Nie, Passent nam niestraszny, ale w tzw. międzyczasie powieść ta ukazała się już na półkach księgarskich, nie chcieliśmy więc dokonywać przedruku. Powiedzenie „na półkach księgarskich" nie jest ścisłe, powinno się raczej mówić „pod ladą". Passent tak tę książkę (umiejętnie!) zareklamował, że cały nakład zniknął błyskawicznie. Dlatego zdecydowaliśmy się „rzecz o podnoszeniu ogona" jednak wydrukować.

Pogodnych Świąt — jeśli nie mogą być jeszcze w pełni wesołe!

M. A. Jaworski

Przeczytałeś „Kamenę"? Pożycz sąsiadom!

Zabawa w radio?

Waldemar Piasecki

ARTUR Borkowski (absolwent prawa, od siedmiu lat w Radiu Centrum):

— Pomysł bicia rekordu emisji radia studenckiego zrodził się jeszcze przed sesją zimową, kiedy dowiedzieliśmy się, że koledzy z wrocławskiego Radia „Oaza" nadawali program przez 518 godzin non stop. Nam najlepsza wydała się pora po sesji egzaminacyjnej, kiedy studenci wracają po przerwie. Chcieliśmy ich jakoś rozruszać, a może poruszyć, zrobić coś, wokół czego mogliby się zintegrować. Wiem, że jest wielu takich, którzy zaraz spytają, czy nie ma innych, bardziej poważnych celów. Pytanie takie, bez jakiejkolwiek próby analizy tego, co robimy, jest po pierwsze tendencyjne (bo sugeruje, że zajmujemy się głupotami), po drugie świadczy o oderwaniu od rzeczywistości studenckiej pytającego i nieznajomości realiów tego życia (jest to o tyle dziwne, że pytają ludzie, których trudno posądzić o brak studiów i znajomości tego środowiska; może zapomnieli). No cóż, głosy takie bolą, obrażają, ale życie jest życiem i pokazuje co innego. Co pokazuje? Pokazuje to (można sprawdzić!), że nasz program jest potrzebny lwiej części ośmiu tysięcy słuchaczy w lubelskich miasteczkach akademickich. Oczywiście oponenci mogą powiedzieć, iż w takim razie zgłupiało osiem tysięcy, tylko że dalej z tego nic nie wynika.

Tak twierdzi kierownik programowy RC i dodaje również (z czym i ja się spotkałem), że tym pseudopytaniom towarzyszą pewne gotowe odpowiedzi (podpowiedzi?): **1) Dzięki programowi studenci się nie uczą i nie chodzą na zajęcia; 2) Zniszczeniu ulega sprzęt radiowy wartości milionów złotych; 3) Program jest bezwartościowy, złożony głównie z muzyki rozrywkowej.** O krok już tylko od klasycznej triady: Czemu to służy? Kto za tym stoi? Komu na tym zależy?

Ad. 1) czyli krytyka leniwych studentów (w wyniku słuchania programu RC).

Merytorycznie odpowiedź na podpowiedź jest dość prosta. W żadnej z czterech lubelskich uczelni, których studenci poddawani są oddziaływaniu RC, nie stwierdzono spadku frekwencji na zajęciach, nie ma też dowodów na to, że są gorzej przygotowani do ćwiczeń, konwersatoriów, seminariów, zajęć praktycznych. Żeby już do końca sąd powyższy uwiarygodnić, informuję, iż wygłaszają go: rektor UMCS, prof. dr hab. Józef Szymański; prorektor AR, prof. dr hab. Czesław Szajer; prorektor AM, prof. dr hab. med. Daniel Chibowski i prorektor Politechniki Lubelskiej, prof. dr hab. inż. Robert Sikora.

Ten punkt programu dyskusji o rekordzie ma także swoje zaplecze demagogiczne, czego refleksy przemknęły przez lubelskie publikatory. Z jednego bieguna odezwały się głosy, iż bicie rekordu jest wspaniałym prezentem studentów na czterdziestolecie pierwszej w wyzwolonej Polsce uczelni (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej), z drugiego natomiast padła krytyka prezentowanego podejścia i sugestia, iż studenci mogliby zrobić swojej Alma Mater inny upominek, niekoniecznie będący tworem ich umysłów, a na przykład rąk. Demagogia obu stanowisk polega na — przede wszystkim — niepoważnym traktowaniu dorosłych ludzi (studentów). Z jednej strony poklepywanie „jak Gierek w Chełmie" (dla mniej zorientowanych: chodzi o słynną akcję „Chełm '80" i występy na niej ówczesnego przywódcy, w lipcu 1980 roku, kiedy strajkowała znaczna część lubelskich zakładów pracy), z drugiej — pouczanie ojcowskie. Jedno śmieszy, drugie — denerwuje. Ponadto oba podejścia mają pewną cechę wspólną. Zdają się sugerować, że poza rekordem studenccy radiowcy (radiowi studenci?) niewiele już mogą na czterdziestolecie wykombinować. Pożyjemy, zobaczymy.

Ad. 2) czyli krytyka marnotrawstwa mienia społecznego (w wyniku emisji programu).

Ponieważ powyższą podpowiedź słyszałem kilkakrotnie i z poważnych ust, postanowiłem, aby odpowiedziały na nią usta kompetentne, a moim zdaniem również — poważne. Usta te należą do red. Jerzego Janiszewskiego, profesjonała radiowego z piętnastoletnim stażem, pracownika lubelskiej rozgłośni PR.

— Jeżeli ktoś tak mówi, to dowodzi tym swojego dyletanctwa. Profesjonalna aparatura stacyjna, jaką dysponuje Radio Centrum, jest przystosowana do pracy non stop i praktycznie do popsucia bardzo trudna. Co się tam może zepsuć? Stół realizatorski — nie. Mikrofon — nie; chyba żeby nim rzucać. Magnetofon? Magnetofon ma grać, bo taka jest uroda radia. Im dłużej gra, tym jego niezawodność jest większa. U nas w rozgłośni (zresztą w każdej) przy nagraniach cały sprzęt uruchamiany jest dzień wcześniej i się rozgrzewa do pracy. W ogóle bezczynność technice radiowej nie służy, niszczy ją. Finalizując, autorom tych „fachowych" opinii doradzałbym, aby wzięli się za swoją robotę. Tak naprawdę w radiu najbardziej niszczy się podłoga, buty, no i ludzie. Mówię to również jako były radiowiec studencki i szef techniczny Radia Akademickiego (poprzednika RC) w latach 1963—1970.

Wracając do rekordu, uważam go za wydarzenie jednoznacznie pozytywne. Poprzez rekord Radio Centrum i jego dziennikarze zapadli w świadomość społeczną. Wiele o nich pisano, mówiono. Skutki propagandowe są tu ewidentne. Impreza niewątpliwie doprowadziła do integracji zespołu, a także — jak przypuszczam — „zaraziła" do pracy radiowej niejednego studenta czy studentkę. Z własnych już doświadczeń powiem, że droga do prawdziwego radia przez radio studenckie jest drogą najkrótszą i najskuteczniejszą. W krótkim czasie poznaje się „mięso" radiowe i bardzo szybko weryfikuje własną przydatność do tej roboty. Radio studenckie jest najlepszą uczelnią radiowców. Tylko z lubelskiego wyszło kilkunastu ludzi pracujących dziś w różnych rozgłośniach w kraju. W ogóle uważam, że Radiokomitet powinien patronować studenckim rozgłośniom, bo łowią one profesjonałów.

Oczywiście można Janiszewskiemu nie wierzyć i trwać w przekonaniu, że sprzęt RC, po pobiciu rekordu, zostanie odwieziony do składnicy surowców wtórnych.

Ad. 3) czyli krytyka rozmiękczania mózgów studenckich (w wyniku słuchania programu).

Z tą podpowiedzią sprawa jest taka jak z kawałem o tym, że nie wiadomo, czy Kowalski ukradł, czy — jemu, ale w kradzież to on był zamieszany na pewno. Nieważne, co nadaje RC, ale muzykę to na pewno. A ponieważ radio robią studenci, to muzyka musi być rozrywkowa.

Ale może zobaczmy, co wynika z kart programowych? Przede wszystkim to, że wyemitowano 1001 godz. i 32 min. programu non stop, bijąc rekord Polski. Niewykluczone, że nie tylko Polski, ale na ten temat brak pewnych danych. Program tych ponad tysiąca godzin można podzielić na trzy zasadnicze bloki: informację, publicystykę i muzykę. W pierwszej grupie znajdują się dzienniki (w RC nazywa się to Studencki Dziennik Radiowy), przegląd prasy, wiadomości sportowe, informacje o studenckich agendach kulturalnych, turystycznych, sportowych, o imprezach itd. Jeżeli idzie o muzykę, występowała ona pod różnymi postaciami. W zwartych odcinkach czasowych (np. prezentacja płyty zespołu, koncertu muzyki poważnej, składanki muzycznej), jako przerywnik w audycjach publicystycznych i informacyjnych, a także jako ilustracja jednych i drugich.

Ustalenie, jaki procent czasu emisji stanowiła muzyka jest trudne. Dlatego głównie, że dokładne odmierzanie tego czasu wymagałoby oddelegowania do kontroli człowieka ze stoperem. Owszem, w karcie programowej, na przykład z 20 lutego br., da się wyczytać, iż nadawano muzykę zespołu „Police" w wymierze 55 minut, i to jest konkret. Da się ustalić, że odcinek „Moja lista wszechczasów" (dotyczy przebojów) trwał 8 marca br. od 6.15 do 7.40 (w tym zapowiedzi). Nie da się natomiast, z dokładnością do minuty, policzyć muzyki w programie nocnym z przewodnim motywem „Jak zdobyć Ją (Jego)?" trwającym kilka godzin, a opartym na — głównie — wypowiedziach radiosłuchaczy i pomysłach autorskich, z udziałem jednakowoż piosenek. W takiej sytuacji trzeba się zdać na ustalenia szacunkowe. Wybierając losowo trzydzieści kart programowych, wyliczyłem, że muzyka, jako podmiot audycji, stanowiła od 40 do 145 minut, w bloku sześciogodzinnym.

Dyskutując w gronie kolegów-żurnalistów (prasowych i radiowych) na temat formuły programowej rekordu, doszliśmy do dość zgodnego przekonania, iż oscyluje ona w kierunku programu trzeciego PR, czyli najchętniej słuchanego przez odbiorców w wieku do lat — powiedzmy — czterdziestu. Oczywiście, nie ta jakość, ale kierunek — ten. Jeżeli zaś ten, to widać, że studenci-radiowcy preferują tzw. żywe radio. Formułę zatem dość trudną, lecz szybko uczącą warsztatu. Muzyka pełni tu rolę bardzo istotną, jednak na pewno nie jest to rola dominująca, podmiotowa i programotwórcza, jak by tego chcieli oponenci rekordu.

Teraz dowody materialne, czyli zawartość publicystyki rekordowej RC. Uwaga pierwsza dotyczy kierunku jej adresowania oraz wyboru treści. Adresatem byli, można by powiedzieć bez zastanowienia, studenci. Nie tylko jednak. Starano się także wyemitować treści dla „drugiej strony", dla nauczycieli akademickich, władz rektorskich, a także organizatorów tego procesu i spraw mu towarzyszących — administracji uczelnianej. Służyły temu m.in. przede wszystkim Trybuny Studenckie, w których gośćmi radia i jego słuchaczy byli rektorzy i prorektorzy wszystkich czterech uczelni. Ponadto do spraw tych wracano w indywidualnych spotkaniach przy mikrofonie z profesorami, docentami, doktorami. „Wciągało" to, jak można sądzić, obie strony, skoro prorektor PL, profesor Robert Sikora, sam dopytywał się, kogo by jeszcze trzeba było „podesłać" na „przesłuchanie". Podczas tych spotkań dyskutowano o programie studiów, obciążeniach dydaktycznych, warunkach socjalnych studentów (tu: problemy domów studenckich, pomocy stypendialnej, żywienia stołówkowego itd.).

Co adresowano do studentów w akademikach? Rozpocznijmy od banalnego stwierdzenia, że były to sprawy, smutki, radości codzienne. Takie, jakie ma większość pobierających nauki w uczelniach. Przede wszystkim wyraźnie wyróżnia się tu blok tematyczny poświęcony partnerstwu, miłości, małżeństwu, prokreacji, a także (a może nawet głównie) trudnościom i zaburzeniom w tych podstawowych dla normalnego funkcjonowania psychicznego i społecznego sferach. Większość programów tego cyklu realizowana była w konwencji „Radia—Ćma" (nawiązanie do filmu Zygadły, z wielką kreacją Wilhelmiego, nagrodzoną na moskiewskim festiwalu filmowym), a więc radia osobistego, prywatnego, intymnego; na pograniczu literackości i psychoterapii. Oprócz wymienionego programu „Jak zdobyć Ją (Jego)?" (emisja w nocy z 20 na 21 lutego i ponad sto telefonów od słuchaczy), podobnym powodzeniem cieszyły się także inne: „Precz z samotnością", „Czy warto tak żyć?" (9 marca; asumpt dała publikacja oparta na listach w sprawie „dewizówki" Marioli X., w „Kamenie"), „Pierwsza miłość", dyskusja o antykoncepcji z udziałem lekarzy, psychologów, socjologów, księdza, filozofa, „Dlaczego dyskoteka?" — rzecz o modelu kultury studenckiej, próby szkicowania portretów wymarzonej (-ego) partnerki (-a), „Co to jest cnota?".

Zasygnalizowana wyżej tematyka, poza analizą stricte radiowo-warsztatową, mogłaby pewnie posłużyć za przedmiot analiz psychologicznych, socjologicznych dotyczących środowiska studenckiego. W innym jednak miejscu i czasie.

Osobną, wartą niewątpliwie zauważenia, była grupa programów o charakterze publicystyki społecznej. W niej natomiast audycja z udziałem dzieci z Pogotowia Opiekuńczego (14 marca br.), która wywołała nie tylko nadspodziewane zainteresowanie, ale także konkretne deklaracje pomocy małym i nie rozpieszczanym przez los obywatelom. Kilka godzin później (15 marca, godziny 0—6) wyemitowano blok „Dzień przed...", oparty na twórczości Baczyńskiego, Witkacego, Stachury, Kamieńskiej, Jurewicza, Rilkego, Hamsuna, Gabriela, Joyce'a i innych. Jego forma przypadła do gustu słuchaczom na tyle, że w rozmowach telefonicznych komplementowali porównaniami do programu III PR. Również przy tej okazji warto wspomnieć o audycjach wiążących się z 40-leciem. Dużym powodzeniem cieszyło się radiowe spotkanie z prof. dr. hab. Zygmuntem Mańkowskim, mówiącym (31 marca) o ruchu oporu na Lubelszczyźnie. O pierwszych nauczycielach UMCS traktowała audycja z 28 lutego. Również w tym dniu specjalny program poświęcono 40-leciu Teatru im. Juliusza Osterwy, czego rozwinięciem było także spotkanie z jego dyrektorem, Ignacym Gogolewskim (21 marca). Na uwagę zasługuje również cykl programów poświęconych pomnikowi Unii Lubelskiej oraz trwającym obecnie pracom renowacyjnym tego obiektu. RC zainicjowało zbiórkę funduszy na ten cel.

Gościem ostatniego dnia emisji, w spotkaniu w stylu „wszystko za wszystko", był sekretarz KW PZPR w Lublinie, doc. dr hab. Michał Bokiniec, który przez prawie dwie godziny „zmagał" się ze studentami. Zarówno w kwestiach natury politycznej, jak i innej, wynikającej z faktu, że sekretarz jest także lekarzem, nauczycielem akademickim, w „cywilu" zaś humanistą i erudytą. Po programie spotkał się z zespołem redakcyjnym Radia Centrum i złożył mu gratulacje z okazji ustanowienia rekordu oraz samego pomysłu w ogóle.

Radiowcy z RC zapraszali także do dyskusji kolegów z „Kuriera Lubelskiego", „Sztandaru Ludu" i lubelskiej rozgłośni PR próbując się z nimi spierać o jakość ich twórczości oraz tytułów, w których pracują. Wśród dzisiejszych profesjonałów znaczną część stanowili byli radiowcy Radia Akademickiego i jego sukcesora Radia Centrum. Jest to też, było nie było, jakiś probierz. Czego? Można sobie dośpiewać. I tym akcentem chciałbym zamknąć omawianie publicystyki RC w ramach rekordu.

Spośród autorów rekordu wypada również wymienić tych, którzy swoją pracą nadawali mu specyfikę indywidualną. Są to: redaktor naczelny RC Krzysztof Komorski (IV rok prawa), kierownik programowy Artur Borkowski (absolwent prawa, dziennikarz „Głosu FSC" i współpracownik „Kameny"), a ponadto Jerzy Hofman (weteran radia studenckiego, od 14 lat w RC, kierownik Chatki Żaka), Urszula Tochman (IV rok germanistyki, kierownik redakcji dzienników), Aneta Brzozowska (III rok psychologii, kierownik redakcji społeczno-politycznej), Tamara Klonowska (III rok psychologii, kierownik redakcji literackiej), Jarosław Pliszka (II rok historii, kierownik redakcji muzycznej), Andrzej Baryła (III rok historii, kierownik redakcji sportowej) oraz Zofia Strużak, Iwona Beń, Elżbieta Nowakiewicz, Grzegorz Typek, Marek Sierociuk, Tomasz Wolski, Jacek Karski, Jacek Bernatowicz.

Z listów Babla do przyjaciół

- 2 -

Do A. G. Słonim

Miła Anno Grigoriewno. Jak należało oczekiwać, „Zmierzch" poniósł krach.[1] *Wydarzenie to wywarło na mnie, jak by to powiedzieć, korzystne wrażenie, po pierwsze dlatego, że byłem na to przygotowany, co nadzwyczaj utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem rozumnym i trzeźwym człowiekiem, a po wtóre myślę, że płody tego fiaska będą dla mnie wielce pożyteczne i przyniosą korzyść. Pani, jak sądzę, była na spektaklu. Czekam na recenzję od Pani. Przypuszczam, że również źle grali. Jedno, czego się nie spodziewałem — iż spektakl będzie nudny. A nuda, okazuje się, była męcząca. Wysłałem Pani kilka dni temu biografię Balzaka „Une biographie romancé", która jest tutaj w dużej modzie. Książka interesująca, można by ją, według mnie, przetłumaczyć.*

(...) Chorowałem na grypę, lecz teraz wyzdrowiałem i czuję się dobrze. U nas jest upojna, delikatna, nieprawdopodobnie piękna wiosna. Jestem przepełniony poezją (i prozą) i rwę się do niebios... Pozdrowienie dla Pani chlebodawców, którzy plują na mnie z wysokiego drzewa, bowiem milczę, nie piszę.

Do widzenia

Wasz I. Babel

Paryż 7 III 28

[1] Premiera „Zmierzchu" w MCHAT 2 odbyła się 28.2.28 r. (Inscenizacja B. M. Suszkiewicza, reżyser I. N. Bierslenlew). Spektakl wypadł nieudanie i po szesnastu przedstawieniach zszedł z repertuaru.

Do A. G. Słonim

Paryż, 15 III 28

Miła Anno Grigoriewno.

(...) Chciałbym pojechać w kwietniu do Gorkiego do Sorrento. Otrzymuję od niego co tydzień natarczywe zaproszenia. Czuję, że trzeba jechać. On obiecuje, że ta podróż będzie mnie kosztować bardzo mało. Pomieszkam u niego do maja, tj. do jego odjazdu do Rosji. Otrzymałem od niego bardzo pochlebny list o „Zmierzchu", ale, niestety, nie zawsze ufam jego smakowi, chociaż i mnie, muszę przyznać, sztuka dotychczas nie przestała się podobać.[1] *Drugim razem będę mądrzejszy. Jeśli napiszę sztukę, będę sterczeć na wszystkich próbach. [...]*

I.B.

[1] „Teatr nie potrafił przekazać widzowi subtelności komedii, z wyglądu ordynarnej — pisał Babel do krewnych 2.4.28 r. — i jeśli oni kontynuują wywieszanie afiszu, to, rzecz jasna, spowodowane jest tym, co w sztuce istnieje mojego, a nie tym, co pochodzi od teatru: mogę to powiedzieć bez zadufania".

Do L. W. Nikulina

Paryż, 20 III 28

[...] W kwietniu pojadę zapewne do Włoch do Gorkiego, patriarcha wzywa natarczywie, odmawiać nie wolno. Pomieszkam tam do odjazdu Gorkiego do Rosji. (...)[1] *A propos „Zmierzchu". Jestem dumny z tego, że fiasko sztuki przewidziałem w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli jeszcze raz w swoim życiu napiszę sztukę (a wydaje się, że napiszę), będę siedzieć na wszystkich próbach, spotkam się z żoną dyrektora, zawczasu zacznę współpracować z „Wieczierniej Moskwoj" lub „Wieczierniej Krasnoj", i sztuka ta będzie nazywać się „Na przełomie" (może i „Na styku") lub, powiedzmy, „Jaka swoboda!"... Piszę, chociaż z trudem, ale piszę. Drukować się będę początkowo w „Nowom Mirie", gdzie jestem w orendzie i na utrzymaniu (...). Chorowałem na grypę, lecz teraz przyszedłem do zdrowia i odczuwam rzeźkość ducha, trochę nawet niebezpieczną — boję się, że pęknę! (...)*

[1] Z powodu opóźnienia wizy włoskiej Babel nie zdążył odwiedzić w Sorrento Gorkiego, który wyjechał 20 maja do ZSRR. Pierwsze jeb spotkanie od czasów rewolucji miało miejsce w maju 1931 r. „Spotkaliśmy się z dawnym uczuciem. — pisał Babel do krewnych 24.5.31 r. — Wrażenia są złożone, nie we wszystkim uświadomiłem je sobie. Lecz, oczywiście, drugiego takiego staruszka nie ma na świecie".

Do A. G. Słonim

Paryż, 26 VI 28

Miła Anno Grigoriewno. Przekłady dla „Krasnej Niwy" zaczną wpływać Pani na początku przyszłego miesiąca. Kolejny numer „Candide" wysłałem. Poszukuję teraz dopiero co opublikowanej (lub może wyjdzie ona za dzień—dwa) książki o słynnym zagadkowym multimilionerze Bazylu Zacharowie (akcjonariuszu największych fabryk broni świata). Książka ta dla Rosji Radzieckiej, dla zdemaskowania machinacji kręgów finansowych i królów armatnich w sprawie przygotowania wojny, stanowi nadzwyczajny rarytas.

(...) Trudzę się. Końca wysiłków nie widać. Jeszcze przewiduję jakieś pięć lat pracy, a później zacznę hodować świnie. Tęsknię za Rosją. Kiedy tylko wykonam zaplanowany przez siebie program — polecę do Rosji z triumfalnym gdakaniem.

Wszystkim Wam, jak piszą chłopi — pokłon z serdeczną miłością.

I.B.

Do W. P. Połońskiego[1]

Rostow nad Donem 8 IV 29

[...] Dochodzą do mnie już dawno słuchy, że kolejne wydania „Armii Konnej" i „Opowiadań odeskich" są wyczerpane. Trzeba przyznać, że Gosizdat [Gosudarstwiennoje Izdatielstwo — J.T.] w stosunku do mnie nigdy nie spieszyło się ze wznowieniem; to, co się wyrabia z „Armią Konną", jest wstrętne. Zwróciłem się z pytaniem do Sandomirskiego, po Panu mojego drugiego wierzyciela (à propos, co to za człowiek ten Sandomirskij?), który bardzo uprzejmie i przyjaźnie odpowiedział na wszystkie punkty i pominął milczeniem pytanie o ponowną edycję. A tysiączek ten uratowałby mnie i rykoszetem wszystkie moje zobowiązania. Niech Pan będzie przyjacielem, zadzwoni do Sandomirskiego. Myślę, że Panu to on odpowie z pełną jasnością.

Oto i wszystkie sprawy. Pójdę dzisiaj nad Don popatrzeć na spływ kry. Tu dziś jest pierwszy dzień wiosny, a jeszcze wczoraj była zima. Chciałbym wiele Panu napisać, lecz czy to od wiosny, czy od czegoś innego, boli mnie głowa. Odłóżmy to do następnego razu. Ściskam rękę. Niech Pan będzie wesół i filozoficzny. Szczerze Panu oddany

I. Babel

[1] Wiaczesław Pawłowicz Połoński (Gosiew), 1886—1932, krytyk literacki, redaktor „Nowego Mira". Do współpracy z tym pismem przyciągnął Babla F. W. Gładkow [autor znanej powieści pt. „Cement" — J. T.] „Umówiłem się z Bablem i Wsiewołodem Iwanowem, że oni na początku stycznia dadzą rękopisy" — pisał on do Połońskiego (25 XII 25 r.).

Do W. P. Połońskiego

Molodienowo, 13 XII 30

[...] Wzywam wszystkich pisarzy ZSRR na „konkurs ubóstwa" ze mną, który nie tylko, że nie ma mieszkania, lecz nawet i najbardziej parszywieńkiego stołu. Tworzę na warsztacie (w dosłownym sensie słowa) mego gospodarza Iwana Karpowicza, wiejskiego szewca. Moja odzież wierzchnia i bielizna osobista, nawet według przesadnej oceny, nie przekracza stu, może dwustu rubli. [...]

Oddany Panu I. Babel

Do T. N. Tess[1]

Paryż, 1 VII 35

[...] Moja podróż z Pasternakiem godna jest poematu komicznego. Kongres okazał się w rzeczywistości poważniejszy, niż przypuszczałem.[2] *Częściej niż z innymi widuję się z Tichonowem, Tołstojem, Kolcowem. Wczoraj otwierano w Villejuif*[3] *prospekt imienia Gorkiego — nadzwyczaj wzruszające. Do Moskwy przyjadę w końcu czerwca. (...)*

I.B.

[1] Tatiana Nikołajewna Tess (Sosiura) — pisarka, dziennikarka.

[2] Antyfaszystowski kongres obrony kultury odbywał się w Paryżu w dniach 21—25 czerwca 1935 r. Babel i Pasternak przyjechali tutaj później niż inni radzieccy delegaci.

[3] Villejuif — robotnicze przedmieście Paryża; delegaci kongresu byli na ceremonii nadania imienia Gorkiego jednej z ulic.

Z radzieckiego czasopisma „Znamja" (1964, nr 8, s. 146—165) wybrał i przetłumaczył Jan Trochimiak.

Kajet literacki

Estetyka mojej babci

DOBRZE pamiętam pierwszą dyskusję teoretyczno-literacką może dlatego, że była pierwsza. Miałem wtedy dziesięć czy jedenaście lat. Przyjechała do nas babcia, wielka dama jak na doświadczenia i nawyki mojej skromnej aż do agresywności matki. Rozmawiano o wszystkim, więc w końcu i o książkach. Babcia raczyła zauważyć, że w powieściach nie cierpi tasiemcowych opisów przyrody. Moja matka miała inne zdanie, w książkach kochała wszystko, więc nie analizowała elementów, nie dzieliła włosa na czworo. Ja wtedy nie bardzo wiedziałem, czyją stronę trzymać i siedziałem cicho, w każdym razie jednak zostałem uczulony na tę sprawę. Opisy przyrody natychmiast zwracały moją uwagę.

Dziś bardzo żałuję, że prawdziwe epickie opisy zniknęły z naszych książek. Zniknęły także portrety i charakterystyki bohaterów, znika po prostu sam człowiek. Zostaje tylko język, i to nie ten uroczy, plotkarski, ale ten dłubiący w zębach, ocierający się o wargi czy podniebienie, język — gipsowy model stetryczałego fonetyka, gramatyka, lingwisty. Zamiast obiektywizmu epiki mamy liryczny, histeryczny, hiperboliczny bełkot wewnętrzny. Bohaterowie licznych powieści coraz bardziej przypominają „ślepe kiszki istnienia" — mówiąc słowami Marii Dąbrowskiej, ostatniej wielkiej pisarki. Zdegradowaliśmy też wiersze i zepchnęliśmy je do rubryki: „Kącik szaszdisty" — tam nie ma już miejsca na uczucia, wystarczy sama analiza.

Sam też nie jestem bez grzechu. Pisałem książki, w których nie ma opisów przyrody, nie ma bujnych charakterystyk, portretów czy szkiców z natury. Powieści nasze zaludniły kukiełki niedbale wystrugane z patyków sztywnej estetyki. Wszyscy entuzjaści wciąż od stu lat odgrzewanych na nowo tych samych nowinek powinni zapamiętać maksymę Isokratesa — „trzeba być dzieckiem swojego wieku, lecz nie jego faworytem".

Z literackiego pogromu ocalały właściwie tylko różne drobne formy pisarskie, których nie opłacało się ruszać majstrom awangardy, na przykład fraszka, maksyma, humoreska, felieton czy notatka prasowa. No cóż, to zrozumiałe, do fraszki, maksymy czy notatki prasowej trudno się wcisnąć z nowymi pomysłami. Z humoreską czy felietonem w gruncie rzeczy jest podobnie, ale tu już więcej miejsca, można się trochę rozpędzić i próbować rozbijać formę, przewartościowywać ją w te albo we w te.

Jak więc z tego wszystkiego wynika, babcia moja była człowiekiem bardzo nowoczesnym, ja zaś jestem cholernie staromodny. No i zgadza się, babcia urodzona w ostatnim piętnastoleciu dziewiętnastego wieku wywodzi się z pokolenia wielkich reformatorów teatru, liryki, powieści, malarstwa, muzyki. A ponieważ, reforma estetyczna jest zawsze aktem jednorazowym i nie może trwać nieustannie, więc my sami w trzecim czy czwartym pokoleniu możemy być tylko epigonami tamtej reformy. Chyba że zaczniemy myśleć po swojemu.

Janusz Olczak

Rys. Szczepan Sadurski

W 1968 roku autor wspomnień ponownie wyjeżdża za granicę. Przebywa w wielu krajach, ale głównie w Algierii, gdzie jest doradcą ekonomicznym rządu Bumediena. Po kilku latach wraca do Polski. Tym odcinkiem kończymy publikację wspomnień prof. Bobrowskiego. Autorowi i Wydawnictwu Lubelskiemu, które nam udostępniło maszynopis, dziękujemy.

(Red.)

Cisza. Burza

Czesław Bobrowski

TRZECI wiek to moja teraźniejszość, ale także kilka już lat wspomnień. Postanowiłem sobie, że po ukończeniu siedemdziesięciu lat wycofam się z wszelkiej aktywności i pracy nakładającej stałe obowiązki. Było to trochę pod wpływem Alfreda Sauvy, który powiedział, że trzeba samemu zdecydować, kiedy zmniejszyć aktywność, i nie czekać, aż okaże się, że już nie wystarcza sił. Przeciągnąłem to jeszcze, ale w 1975 r. uznałem, że czas już na trzeci wiek. [...]

Po powrocie na stałe do kraju byłem i czułem się dość odizolowany od rzeczywistości krajowej i minęło sporo czasu, zanim nawiązałem kontakty z otoczeniem. Jeśli władze zaliczyć do otoczenia, to chyba najlepszym określeniem ich stosunku do mnie byłby termin: „człowiek nie istniejący". Nie spotkały mnie żadne szykany, aczkolwiek odmówiono mi pewnego bardzo cennego i rozpowszechnionego przywileju, z którego korzystałem z przerwami od 1945 do 1968 r., a mianowicie — prawa do korzystania z lecznicy rządowej. Jak wiadomo, jest zwyczajem prasy polskiej przedstawianie jako sukcesu narodowego każdego zaszczytu przypadającego któremuś z polskich naukowców. Wiadomość o przyznaniu mi doktoratu honoris causa [na Sorbonie — red.], przekazana przez PAP i ambasadę w Paryżu, nie ukazała się nigdzie z wyjątkiem „Tygodnika Powszechnego". Aż wreszcie w 1979 r. zostałem zauważony. Przewodniczący Komisji Planowania zaproponował mi udział w radzie naukowej, którą zamierzał stworzyć. Odmówiłem, przekonany, iż będzie to martwe ciało, natomiast zapewniłem, że na każde konkretne pytanie jestem gotów z całą sumiennością przygotować odpowiedź. Z okazji ukończenia przeze mnie siedemdziesięciu pięciu lat „Ekonomista" i „Życie Gospodarcze" opublikowały obszerne i elegancko sformułowane zarysy biografii. A „Gospodarka Planowa" przedrukowała mój — niestety, wciąż aktualny — artykuł sprzed prawie dwudziestu lat na temat metod opracowania i realizacji planów pięcioletnich. „Kwartalnik Historyczny" ogłasza kilka rozdziałów moich wspomnień o CUP-ie. Na ten sam temat „Polityka" opublikowała doskonale opracowany wywiad ze mną. Wreszcie, jak to szeroko wiadomo w kołach warszawskich, na polecenie władz naczelnych zwrócono się do jakiegoś dziesiątka osób o odpowiedź na ankietę dotyczącą perspektyw lat osiemdziesiątych. Znalazłem się w ich rzędzie. [...]

W roku 1976 odkryłem istnienie kontestacji. Zainteresowała mnie ona żywo i siłą rzeczy powstały luźne kontakty. Istnienie kontestacji uważam za zjawisko pozytywne, ale co do jej działalności mam bardzo wiele zastrzeżeń. W wielu, jeśli nie w większości znanych mi z publikacji grupach chęć działania była nieraz silniejsza niż potrzeba poważnej pracy myślowej, a troska o skuteczność często mniejsza niż pragnienie rozgłosu. Oczywiście może to być sąd krzywdzący dla niektórych grup i pewnych działań, ale chodzi mi przecież nie o ocenę kontestacji, lecz o wyjaśnienie zachowania przeze mnie dystansu. Niezależnie od tego, że w kontestacji dostrzegam zbyt wiele postaw niekiedy anachronicznych, a kiedy indziej niedojrzałych, że razi mnie częstokroć swoisty prowincjonalizm, przypominający przedwojenną formułkę „słoń a sprawa polska", uważam za niezmiernie niebezpieczne wiązanie się z jakąś grupą o mało określonym poglądzie, tylko z powodu wspólnego nastawienia krytycznego (świetnie o tym rodzaju niewoli mówił Marian Brandys w „Nierzeczywistości"). Nie przyłączyłem się nawet do Towarzystwa Kursów Naukowych, choć wygłosiłem na „uniwersytecie latającym" bodajże trzy odczyty (w charakterze świadka przeszłości). Obawiałem się, a rzeczywistość miała mi przyznać rację, że przedwczesne instytucjonalizowanie akcji samokształceniowej i nadanie jej ostentacyjnego charakteru może się okazać samobójcze.

Dystans nie oznacza całkowitego braku kontaktu intelektualnego. Niektóre, nieliczne co prawda, publikacje uważam za wzbogacający i trwały wkład do myślenia politycznego i gospodarczego. Ze swej strony wystąpiłem na różnych terenach z analizą sytuacji, bądź z prognozą przyszłości, a nawet z propozycjami takich czy innych doraźnych działań. Odpowiedziałem też na kilka ankiet pochodzących bądź z naturalnych ośrodków naukowych, bądź niektórych grup kontestatorskich. W dyskusji przed VIII Zjazdem PZPR w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym wystąpiłem zarówno jako członek panelu zaproszonych do zagajenia dyskusji, jak i dyskutant. Jeśli mierzyć wysiłek liczbą stron, to był on spory — przez jakieś półtora roku wyprodukowałem ich ponad dwieście (częściowo w postaci tekstów pisanych przeze mnie, a częściowo w formie stenogramów z wystąpień). Natomiast efekt tego wszystkiego oceniam jako bardzo skromny.

Przyczyna niskiej efektywności częściowo leży po mojej stronie. Dość późno zorientowałem się w rozwoju nastrojów społecznych, a nawet w sytuacji gospodarczej. Trochę dlatego, że pierwsze trzy lata polityki nowej ekipy wyglądały bardzo zachęcająco, i że nastroje w kraju w 1973 r., a nawet w 1974 r., wydawały mi się najlepsze od czasów października 1956. Widywałem mało ludzi i nie znałem dokumentów nawet powszechnie dostępnych, a przypadkowa rozmowa z pełnym optymizmu premierem Jaroszewiczem w lipcu 1974 r. wprowadziła mnie w błąd (musi mieć w zanadrzu jakieś atuty, jeśli tak mówi — pomyślałem). W rezultacie byłem opóźniony w ocenie rozwoju wypadków i grożących konsekwencji. Tym samym moje pierwsze oceny wydawały się i musiały się wydawać nie dość krytyczne, nie sięgające dostatecznie w głąb. Oceny późniejsze też nie w pełni były podzielane. W środowiskach, z którymi się spotykałem, pojawiły się potężne nastroje katastroficzne — oczekiwanie wybuchu, podczas gdy ja liczyłem się raczej z długotrwałą stagnacją, a nawet degradacją życia gospodarczego i z rozwojem negatywnych zjawisk w zakresie postaw ludzkich. Wreszcie jeśli chodzi o recepty, które zdarzało mi się proponować, to najczęściej uznawano je w całości za nie dość śmiałe, ustosunkowując się niechętnie do poszczególnych konkretnych propozycji jako... zbyt trudnych. Tylko o bardzo nielicznych osobach ze znanych mi środowisk mogę powiedzieć, że znajdujemy się jeśli nie na jednej, to w każdym razie na podobnej fali. Do tego muszę dodać, że w warunkach nieprzejrzystości, która stała się podstawową cechą gospodarki polskiej, wielu zjawisk właściwie nie rozumiem, a w każdym razie nie potrafię zaproponować właściwego na nie remedium.

Sprawa „naprawy Rzeczypospolitej", która obok pisania wspomnień dostarczyła mi drugiego elementu „niepróżnowania", nie jest zakończona, ale nie wierzę w większą użyteczność wkładu, jaki mógłbym w nią wnieść. [...]

Opracowując wiosną 1980 r. te wspomnienia, na tym zamierzałem je zakończyć. Ale zamiast oczekiwanej ciszy przyszła burza. Nie należę, jak widać, do tych, którzy mają dużą zdolność przewidywania — dopiero na jesieni 1979 r. zacząłem myśleć, że cierpliwość ludności może się skończyć — przedtem sądziłem, że raczej grozi nam długotrwały rozkład. W rzeczywistości rozpoczął się, trwający po dzień dzisiejszy, posierpniowy proces. [...]

Jednym z elementów burzy był kryzys gospodarczy i jest to jedyna sprawa, o której byłoby mi łatwiej pisać. Wiąże się to z faktem, że po sierpniu 1980 uprzytomniłem sobie, iż nawet nie biorąc udziału w procesach politycznych, mogę jednak być użyteczny jako technik ekonomiczny i że tylko w tej dziedzinie mogę coś wnieść. Pierwsza faza mojej działalności, rozpoczęta w listopadzie 1980 r., to publicystyka gospodarcza: około 50 artykułów i wywiadów w prasie, seria rozmów telewizyjnych wydanych potem drukiem, sporo odczytów w przeróżnych środowiskach itp. Do czego zmierzałem? Do rozbijania mitów i złudzeń. Do uzmysławiania sobie skali i ciężaru konsekwencji popełnionych błędów (pierwszy mój wywiad zatytułowany został: „Błędy popełnia się prędko, naprawia powoli"). Do uprzytomnienia, że reforma gospodarcza nie przyniesie niezwłocznie pełnych efektów, mimo że jest koniecznością wobec rozkładu odziedziczonego systemu gospodarczego, że na jej efekty trzeba będzie czekać. Do wyjaśnienia problemów równowagi, inflacji, tzw. rezerw itp.

Drugim terenem działania były funkcje doradcze. Początkowo w postaci udziału w Komisji d/s Reformy, oraz w grupie ekonomistów powołanych przez premiera dla spowodowania poprawek w rządowym raporcie o stanie gospodarki. Funkcje doradcze rozrastały się i wreszcie w kwietniu 1982 r. została powołana Konsultacyjna Rada Gospodarcza pod moim przewodnictwem. [...] Nie miejsce tu na ocenę tego, co udało nam się w Radzie osiągnąć, a co nas przerastało. Wspomnę tylko o tym, że wbrew obawom czy insynuacjom nieufnych, ani nie zrezygnowaliśmy z zajmowania niezależnego stanowiska, ani nie ograniczono naszej niezależności. W szczególności publikujemy wszystkie ważniejsze opinie i syntetyczne oceny, a tym samym obsługujemy nie tylko rząd, ale i opinię społeczną. Z jakimi skutkami? Oczywiście są one połowiczne i nie mogą być inne. Wystarczają jednak do tego, by zespół Rady, a ja w tym rzędzie, mógł sądzić, że w tym niezmiernie trudnym okresie jesteśmy do czegoś przydatni. Mimo tego przy okazji przedłużenia kadencji Rady oświadczyłem publicznie, że za rok, po ukończeniu osiemdziesięciu lat, wycofam się może nie z wszelkiej aktywności, ale z wszelkich sformalizowanych obowiązków. Po prostu wspomniana poprzednio rada Alfreda Sauvy, do której nie zastosowałem się po ukończeniu siedemdziesiątki, stała się dla mnie bardzo aktualna. Jeden z publicystów zaszczycił mnie formułką „znakomity i wiecznie młodzieńczy". W prywatnym liście napisałem, że młodzieńczy jestem przez kilka godzin dziennie, a resztę czasu jestem stary, doświadczony i zmęczony, chociaż bynajmniej nie zgorzkniały. Malejąca z wiekiem sprawność i zdolność do wysiłku jest jedyną przyczyną złożonego oświadczenia. Od kilkunastu lat, ilekroć przeżywam jakieś chwile zawodu czy depresji, to przypominam sobie wspaniałą formułkę Wilhelma Orańskiego, która w niezbyt zgrabnym tłumaczeniu brzmi: „Pewność sukcesu nie jest niezbędna, by zacząć działać — powodzenie nie jest niezbędne, by wytrwać".

Zgrzyt pod nożem

Anna Bocian

GABINET lekarski był jak biurowa poczekalnia. W słoiku za szafą stały kwiaty w przezroczystych opakowaniach. Duża ilość wstążek przy łodygach świadczyła o szczodrości pacjentów, lecz zmęczony i rzeczowy głos doktora daleki był od miłego zadowolenia

— Co mogę powiedzieć o zawodzie chirurga. Mogę dużo. A jak powiem, to co z tego?

Wzruszył ramionami.

— Jak wiadomo, codziennie pracuję od godziny ósmej do czternastej. Dzisiaj tak samo, z tym że od czternastej do jutra, do ósmej, mam dyżur, za siedemset złotych. Po dyżurze pracuję jak zwykle; wiem na przykład, że rano operuję raka żołądka. Jeżeli w nocy trafią mi się, powiedzmy, dwie resekcje żołądka — do raka stanę zmęczony jak katorżnik. Co winien temu pacjent? A co ja? Dobrej klasy chirurg zarabia piętnaście tysięcy miesięcznie, bez dyżurów. Który elektromonter zgodziłby się na takie pieniądze za taką pracę? Malował mi facet kaloryfer — sześćset złotych za metr kwadratowy żeberek. Odwalił fuchę. Coś pan? — mówię. — Zaraz się poprawi, panie doktorze. Niechbym ja spróbował tak poprawiać. Ciągle mówię o pieniądzach — zauważył. — Kiedyś za wolną sobotę płacono mi dwa tysiące. Teraz siedemset złotych od godziny czternastej, a czas do południa mogę sobie kiedyś odebrać.

— Skoro może pan...

— Ale właściwie nie mogę. Bo etyka, bo operacje, bo zajęcia ze studentami. Tak się mówi: odebrać. Tylko jak odebrać?

Na osiłka doktor nie wyglądał, ale uśmiechał się jak Tytan na urlopie.

— Najgorsze, że wszędzie ludzie traktują lekarza jak faceta z forsą: na stacji obsługi samochodowej, wszędzie. I pracuje się te osiemnaście do dwudziestu godzin na dobę, wyciąga się te dwadzieścia tysięcy, a potem już tylko wyciąga się nogi.

Marne światło w gabinecie lekarskim przypomniało doktorowi o całkiem przyziemnym aspekcie odpowiedzialnej pracy chirurga.

— Żarówki, co tam żarówki — skrzywił się. — Przychodzi pielęgniarka i mówi: panie doktorze, pan da nóż dla Tereski, bo jutro ma operację. A odkąd to oddziałowej nóż potrzebny, żadnego noża nie dam. Pan da... Chodziło o nóż jednorazowego użytku, z darów. U nas takie noże ostrzy się ile można, no! Albo leci operacja. Pole operacyjne przygotowane, obłożone sterylnym, robię nacięcie i mówię: drugie obłożenie proszę. Takie wokół rany, żeby haki nie poszarpały brzegów. — Nie ma — mówi pielęgniarka. — Jak to nie ma? — No nie ma, panie doktorze.

— I co?

— Było bez obłożenia. Rękawiczek też nie ma. Powiedzieć, jak jest bez rękawiczek? Otóż proszę siostrę o rękawiczki do badania per rectum, czyli przez odbyt. Skończyłem badanie, rękawiczkę zdejmuję, zwijając do góry i przewracając na lewą stronę. Jeżeli jej nie wyrzucę, salowa nasypie do środka talku i kiedy znowu powiem, że rękawiczkę do badania per rectum proszę, wpakuję łapę w gówno.

Dokończenie na str. 8

Z księgi humoru ludowego

Auto czy drabina

Żył pewien Antek i Francek. Antek był trochę mądrzejszy i kupił sobie motor. Raz przyszedł do niego Francek i powiada:

— Pożycz mi twojego motoru. Chcę pojechać do miasta.

— No dobrze — powiada Antek — ale czy umiesz jeździć?

No i zaczął go pouczać, że jeśli ujrzy z naprzeciwka dwa światła, to ma pamiętać, że to dwóch milicjantów na motorach. No i dobrze, teraz Francek jedzie. Naraz na szosie dwa światła. Wjechał więc Francek, tak jak mu Antek nakazał, w sam środek.

Obudził się w szpitalu. Jak go Antek odwiedził, to Francek mu powiada:

— Ty wiesz, dwa światła były, ale skąd mogłem wiedzieć, że oni drabinę wieźli?

Chłop i baba

Jeden chłop miał babę, co wciąż mu gadała, że woli pierwej umrzeć jak on.

Wtedy chłop poszł na jarmark, kupił gęś, przyniósł do domu, a babie nie pokazał. Wsadził pod łóżko i siedzi zmartwiony. Baba się go pyta, czemu taki smutny, a on jej gada, że widział się dziś ze śmiercią i pedziała mu, że dziś przyjdzie po niego. Wtedy baba mu kazała wleźć do pieca i zatkała go, i gadała, że jak śmierć przyjdzie, to jej powie, że go w domu nie ma.

Chłop wlazł do pieca, ściemniło się już, a baba się zabrała na łóżko. Jak wyłaziła na łóżko, a tu gęś dalej spod łóżka i zaczyna się drzeć. Baba jak skoczy z łóżka, leci do pieca, odtyka i woła:

— To nie ja, to nie ja! On tam jest w piecu, on tu jest!

Małżeński mić 1

Dwie sąsiadki prowadzą z sobą rozmowę i ta jedna powiada:

— Moja droga, a cóż to pani ma tak oko podbite?

— A wiecie, mój ślubny!

— A pani to wytrzymuje? Nie może pani tego zgłosić na milicji?

— Owszem, zrobię to, jak tylko mój ślubny wyjdzie ze szpitala.

*

Jeden ksiądz prawi na kazaniu:

— Mili parafianie, małżeństwo to jak przystań, w której spotykają się dwa okręty na morzu życia...

Naraz przechyli się sąsiad z ławki do drugiego i głośno powiada:

— Tomek, teraz rozumiem wszystko. Spotkałem się z okrętem wojennym!

Małżeństwo

Był jedyn taki Gustlik, z niego to się wszyscy trocha śmieli, ale on był bardzo akuratny. Żył ze swoją kobietą już może z pięć lat jak roz zdarzyło się coś, co zaprowadziło Gustlika do adwokata.

— Mecenasie, co zrobić, aby dostać rozwód?

— No, a to dlaczego?

— No, bo mnie moja staro już nie kocha, nic mi nie przaje.

— A dowody?

— No, patrzcie, dostali my trzynastka, no jak to przy trzynastce, poszli my trocha do klubowej popić. No przyszołech tak trochę pod gazem, no i wiecie, tam mi sie w głowie zabamuniło, żech zleciał ze schodów z drugiego piętra. A wtedy wiecie, jak był ten straszny rumor, to moja Marika otworzyła drzwi, spojrzała na mnie i jak ujrzała, jak jo na dół leca, to zamiast o ratunek prosić abo, jak to czynią inne kobiety, lamentować o mie, to wiecie, co ona zawołała? Pedziała na głos:

— Gustlik, przynieś po drodze kartofli z piwnicy!

Na pielgrzymce

Widzi kobieta, że kręcą się złodziejaszki. Schowała se pieniądze do stanika. Ale co chwilę łapie się za to miejsce, aż złodziej wypatrzył, wepchnął jej tam rękę i zabrał całą sumę. Baba złapała się, pieniędzy nie ma!

Zaraz leci do księdza i prosi, żeby może na kazaniu ogłosił, to może złodzieja sumienie ruszy. Ksiądz się pyta:

— No, to jak wam te pieniążki wybierał, nic nie poczuliście?

— A i owszem, czułam, ale myślałam, że ma poważne zamiary.

O Żydzie

Jeden Żyd chciał się przechrzcić i poszedł do biskupa. Biskup się go pyta:

— Wierzysz w Boga?

— Wierzę!

— Wierzysz w Jezusa Chrystusa?

— Wierzę!

— A w to wierzysz, że Jezus nakarmił 6 chlebami i 7 rybami 9 tysięcy Żydów?

— Aj waj, wierzę, że karmił, ale że oni się najedli — nie wierzę.

Spowiedź kumoszki

Poszła kumoszka z kumoszkiem do spowiedzi. Szli przez las. No i zrobili „raz". I spowiadają się z tego grzechu. Chłop się spowiada, że z kumoszką zrobili raz. A kumoszka się spowiada, że zrobili dwa razy. A ksiądz mówi do kumoszki, że kumoter mówił, że tylko raz.

— Proszę księdza, on mi tam nie daruje, jak będziemy szli nazad.

Niedzielne kazania

Chcąc zbyć kazanie, na które przygotować się nie chciał, wylazł ksiądz na ambonę i powiada:

— A wiecie wy, co ja mam powiadać?

Wierni odpowiedzieli, że nie wiedzą.

— Otóż, jeżeli wy nie wiecie, o czym mam mówić, to wam nie powiem.

Na drugą niedzielę wchodzi na ambonę i pyta:

— A wiecie wy, co mam powiedzieć?

Wszyscy powiadają: — Wiemy.

— Otóż, jeżeli wy wiecie, to wam nic nie powiem.

Na trzecią niedzielę ksiądz z ambony pyta:

— A wiecie wy, co mam powiedzieć?

Jedni powiadają: — Wiemy. — Drudzy zaś: — Nie wiemy.

— Otóż, ci co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą.

O górnikach

W jednej kopalni na filarze rębacz nastrzelał bardzo dużo węgla, a potem położył się wraz z kolegami na spągu i nic nie robili. Wkrótce przyszedł sztygar i widząc, że nic nie robią, powiedział głośno, aby oni słyszeli:

— Ale tu czuć gnojem!

Chodził dookoła, nosem wąchał i wkoło to samo:

— Czuć gnojem... czuć gnojem.

Naraz przodowy wstaje, idzie ku sztygarowi, wącha i powiada:

— Macie racje, sztajger, rychtyk czuć gnojem, ale dopiero jak wyście przyszli, bo przedtym to nie śmierdziało.

*

Trzech górników siedzi raz w restauracji i popija piwo. Chwalą się jeden przed drugim, jakie to mają grube żony. Pierwszy gada:

— Moja staro jest taka gruba, że na jednym stołku nie może siedzieć, musi mieć dwa.

Drugi powiada: — Moja jest taka gruba, że jak wychodzi do kuchni, to musi iść bokiem, bo przodem by nie przelazła.

A trzeci gada: — To wszystko nic. Moja jest taka gruba, że jak żem od niej zaniósł biustonosz do pralni, to mi powiedzieli, że namiotów nie przyjmują.

*

Raz idzie pijany drogą. Zatrzymuje jednego górnika i gada do niego:

— Kolego, stój ino, ja ci coś powiem.

Ale górnikowi się śpieszyło, bo szedł do roboty i nie chciał stanąć. A pijany mu gada:

— Muszę ci coś zdradzić. Wiesz ty o tem, że Bóg to jest mój szwagier?

Górnik zdziwiony stanął i pyta się:

— Jak to może być, że Bóg to twój szwagier? Nie cyganisz?

— Nie wierzysz? Patrz... były dwie siostry. Tę jedną Bóg zabrał, a z drugą ja się ożeniłem. No, jest moim szwagrem?

*

Idzie sobie górnik pod gazem do domu, akurat chce przejść przez drogę na drugi chodnik. Już nogą stanął na jezdni, a wtem jedzie auto i byłoby go przejechało, ale ktoś go złapał za kołnierz i odciągnął z powrotem. Górnik ogląda się, a tu jakaś biała osoba stoi [illegible] jej:

— [illegible]nie, a tyś co za jeden?

— [illegible]wiesz?

— Nie!

— No, ja jestem twój anioł stróż!

— A co ty tu przy mnie robisz?

— Chronię cię od nieszczęścia.

— Ty mnie chronisz od nieszczęścia? A kaj żeś ty, pieronie, był 25 lat temu, kiedy się żeniłem?

*

Raz wsiada do tramwaju mocno pijany chłop. Przed nim stał elegancki panoczek w jasnym płaszczu. Jak tramwaj ruszył, zrobiło się temu pijanemu niedobrze i zwymiotował prosto na płaszcz temu panoczkowi. Ten rozgniewany powiedział:

— Świnia!

A pijany na to:

— Co, ja? Ty się ino obejrzyj, jak ty wyglądasz!

*

Raz idzie górnik do roboty. Bardzo mu w żołądku burczało. Nie mógł już wytrzymać i głośno pierdnął. Za tim przeleciał mały synek i purtnął parę razy. Górnik go zatrzymał i pyta się go:

— Synek, co to robisz?

— A dyć nic. Ja ino wasz kęs na drobne kąski potrzaskałem.

Miejsce na umarcie

Raz na kopalnię „Halemba" przyjechała bardzo ważna delegacja samych urzędników. A wiecie, oni się mieli tak z górnikami porozmawiać przy winku i kołaczu. A było to zaraz po wojnie i to miało być takie zbratanie klasy inteligenckiej z klasą robotniczą.

No i teraz takie rozmaite gadki idą, a pytania takie różne ci urzędnicy zadają. No i Francika Synowca taki jeden panoczek pyta:

— Długo już tu w kopalni robi pan?

A Francik mu opowiada, że z dziada pradziada. Że już od wielu pokoleń wszyscy w kopalni fedrują i powiada, że jego pradziadek w kopalni zginął.

— A dziadek?

— Też w kopalni zginął.

— To pan się nie boi w kopalni robić?

— Panie — powiada Francik — teraz wy mi odpowiedzcie: — Gdzie umarł wasz pradziadek?

— W łóżku.

— A dziadek?

— Też w łóżku.

— A ojciec?

— Też w łóżku.

— To panie — powiada Francik — to wy się nie boicie tak co noc kłaść do łóżka?

Wam powiadam, co to śmiechu było!

Powód

Sztajger pyto sie Francka:

— Jak długo byłeś w poprzednim zakładzie?

— Pięć lot — odpowiado Francek.

— To bardzo dobrze. A czemuś stamtąd odszedł?

— No to przeca proste! Ogłosili amnestio.

O chłopach na cyku

Roz przyjechoł jeden z „Oświaty" na gruba i mioł dło górników pogadanka o tym, jak to alkohol szkodzi. Wszyscy słuchali i nie przerywali mu. Jak skończył, to na samo zakończenie powiado w ten sposób: — Patrzcie, przecież wy jesteście ludźmi, a jeśliby my tak zawołali tu osła i postawili przed nim kibel wody i kibel spirytusu, to kto mi odpowie, co wypije osioł?

— No wodę, to przeca jasne — odpowiedzieli hurmem górnicy.

— A dlaczego?

— No panie prelegencie, przecież po to jest osłem!

*

Innym razem ten sam prelegent przyjechał na tę samą kopalnię i żeby już nie mówić o tym ośle, pokazał słoik, w którym była wątroba alkoholika. Powiada tak:

— Patrzcie, szanowni państwo, tak wygląda wątroba alkoholika!

— A długo już ta wątroba jest tu w tym słoiku?

— Już 7 lat!!

— A nie psuje się?

— Przecież jest zalana spirytusem — odpowiada prelegent.

— Dziękujemy pięknie, teraz już sami będziemy się konserwować — padają górnicy i zaczęli wychodzić z cechowni.

*

— Kokotko — padali sąsiedzi — współczujemy wom bardzo. No i umarł ten wasz chłop. Lekko mioł śmierć?

— Wiecie, nawet umierając jeszcze o mnie myśloł. Już oczy zawieroł, potym je naroz otworzył i zawołoł:

— Gustla, tam za szrankiem stoi liter, dej ino jeden kieliszek na pożegnanie.

Po czym poznać pijaka?

Szedł raz ojciec ze swoim synem. Synek pyta:

— Tato, a po czym poznać pijaka?

— No wiesz, to jest tak... jak by ci to najlepiej powiedzieć? Patrz tam idzie dwóch górników, nie? A jakbych był pijany, no to bych widzioł czterech, wiesz?

— Ale tato! Tam idzie ino jeden górnik!

(„Z księgi humoru ludowego" pod redakcją naukową Doroty Simonides, Warszawa 1981, LSW).

Rysował Józef Tarłowski

„Raz w roku w Skiroławkach"

O tym, jak doktor podnosił ogon Gustawa Pasemki i co z tego wynikło

Zbigniew Nienacki

PEWNEGO wieczora w lutym do gabinetu doktora Niegłowicza w jego domu na półwyspie Zofia Pasemkowa przyprowadziła swego męża, Gustawa, i rzekła:

— Od siedmiu lat, panie doktorze, jak to sobie wyliczyłam, mój mąż na mnie w nocy nie wlazł, choć go do tego zachęcam na rozmaite sposoby. Jestem kobietą religijną, a ja powiada proboszcz Mizerera, kobieta i mężczyzna mają żyć ze sobą, i to wiem, że nie jest dobrze, jeśli chłopu, który jest zdrowy i silny, czterdzieści sześć lat sobie liczy, w nocy ani nawet rano nie staje jego ogon. Nieszczęścia z takiej sprawy mogą być rozmaite.

— Co pani ma na myśli? — zapytał doktor.

Zaniepokoiła się i nawet wyraz strachu pojawił się na jej twarzy. Dopiero po chwili odpowiedziała:

— Nic specjalnego nie mam na myśli. Ale przyszłam zapytać, czy są takie lekarstwa, co mężczyźnie ogon podnoszą?

— Bywają — powiedział doktor. — Ale leczenie jest długie. Najpierw musiałbym o waszym pożyciu dokładnie wszystkiego się wywiedzieć, potem męża zbadać i lekarstwo dla niego najodpowiedniejsze wybrać.

— Dopraszam się, aby pan męża zbadał. A o pożyciu to już sama opowiem — zgodziła się Pasemkowa.

Gustaw Pasemko był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą ogorzałą przez wiatry i słońce, całe dnie bowiem, a nieraz i noce, spędzał na jeziorze jako kierownik brygady rybackiej. Oprócz dochodu z połowu ryb mieli Pasemkowie pieniądze także z dziesięciohektarowego gospodarstwa, trzymali konia, trzy krowy, kilkanaście świń. Do roboty było trzech synów, z których najstarszy ukończył dwudziesty trzeci rok życia, średni — dwudziesty pierwszy, a najmłodszy — osiemnasty.

Oprócz lekkiej rozedmy płuc doktor Niegłowicz żadnych dolegliwości u Pasemki nie stwierdził. Jego żona, Zofia, prezentowała się jako kobieta wysoka, pleczysta, o cerze gładkiej i ze śladami dawnej urody. Piersi miała zwiotczałe i wyschnięte, w ogóle trochę zbyt koścista i chuda zdała się doktorowi, ale, jak wiadomo, doktor lubił kobiety zasobne w ciało i krągłości. Nie podobały się także doktorowi usta Pasemkowej, wąskie i zaciśnięte, jak gdyby w ciągłej złości, wyraz ciemnych oczu twardy i światu niechętny.

— Zachęcam zaś go w ten sposób, że czasami, kiedy już razem leżymy w łóżku — opowiadała Pasemkowa — zadzieram koszulę, biorę jego rękę i między swoje nogi ją wpycham. „Bierz się za robotę" — mówię do niego. Ale on tylko palcami grzebie i rękę zabiera. Ogon mu się nie podnosi.

Pokiwał doktor swoją siwiejącą głową, że niby prawdę o ich pożyciu zaczyna dostrzegać i zapytał Pasemkę:

— Tak to jest, jak opowiada żona, czy może jest inaczej?

Pasemko zerknął bojaźliwie na swoją kobietę, potem głowę zwiesił i potwierdził:

— Prawdę mówi. Ogon mi się nie podnosi.

Tedy doktor Jan Krystian Niegłowicz mniemając, że Pasemko z obawy przed żoną jakąś prawdę przed nim ukrywa, oświadczył, że podejmie się leczenia, ale Gustaw Pasemko ma przyjść do niego pojutrze o tej samej porze, sam jeden. W międzyczasie doktor wybierze dla niego odpowiednie lekarstwo.

Nazajutrz, zakończywszy pracę w ośrodku zdrowia w Trumiejkach, zaszedł doktor do apteki i przejrzał spis wszystkich dostępnych afrodyzjaków, a także środki, które z duszy ludzkiej lęk usuwają. Zaopatrzony w leki powrócił Niegłowicz do Skiroławek, a następnego dnia przyjął w swym gabinecie Gustawa już bez jego żony, Zofii. Prowadząc z nim grzeczną rozmowę wywiedział się doktor nie tylko o tym, co było przed siedmioma laty, ale także i o tym, co działo się wcześniej, gdy ogon Gustawowi podnosił się coraz rzadziej i rzadziej.

Z opowieści tej wynikało niezbicie, że cała historia z ogonem zaczęła się wówczas, kiedy jego trzej synowie zaczęli dorastać i rozmaite psoty po wsi czynić, bić się z innymi, a nawet kraść jabłka po obcych sadach. Zofia Pasemkowa, która z natury rzeczy była kobietą srogą, nie zdzierżyła wstydu, jaki jej chłopaki przynosiły i wzięła na nich bat koński do ręki. Lała ich batem prawie co dzień, aż im wszystkie figle, kradzieże i bójki z głowy wyleciały, i żaden przez dłuższy czas nosa poza dom nie wystawił. Przy okazji też i ojciec, czyli Gustaw Pasemko, batem od żony dostawał za to, że nie umie chłopaków krótko trzymać, mało ryb z jeziora przynosi, że pola są zachwaszczone. I w ogóle za to, że ona, Zofia, która spod stolicy pochodziła i miała wyjść za mąż za pewnego młodego sierżanta, przypadkiem na sadzenie drzew do lasu koło Skiroławek przyjechała, na zabawie Gustawa Pasemkę poznała, w ciążę z nim zaszła i za mąż wyszła. A nie wiedziała wtedy, że Gustaw jest niezguła, niemota, gdyż nauczył się milczeć na jeziorze podobnie jak ryby, które łowił. Od dawien dawna, gdy kładli się wieczorem do łóżka, rozbierając się zaczynała swoje wyrzekania i wspominania, że z powodu tej ciąży za mąż za niego wyszła, a mogła mieć życie radosne z innym mężczyzną. Z początku niewiele sobie robił Gustaw Pasemko z tych wyrzekań żony i wówczas ogon mu twardniał. Z czasem jednak coraz bardziej brał sobie do serca jej wymówki, a gdy wreszcie nie tylko synów, ale i jego batem bić zaczęła, ogon mu wiotczał, opadał, w końcu zaś nie chciał się podnosić, choć prawdę mówiąc zachęcała go do tej sprawy w taki sposób, jak uprzednio doktorowi opowiadała.

— A nie mogliście to wyrwać jej tego bata i parę razy ją smagnąć? — zapytał doktor.

— Jakże to? — zdumiał się Gustaw Pasemko. — Matkę czworga dzieci batem smagnąć? Zresztą rację kobieta miała, bo chłopaki były niesforne, a ja wolałem z domu na jezioro uciekać i siedzieć w łódce. Do lepszego życia Zofia stworzona, za sierżanta mogła wyjść, a ja sprawę spaskudziłem i teraz słusznie się na mnie gniewa.

Zamyślił się doktor Jan Krystian Niegłowicz nad słowami Gustawa Pasemki, które jak gdyby otwarły przed nim przepaście ludzkiego rozumowania, odczuwania, zdolności sądzenia. Zatem dał Pasemce lekarstwa w formie kropel i drażetek, zalecając, aby je połykał, aż ogon mu stwardnieje.

Przywołał też do siebie doktor Zofię Pasemkową i tak do niej powiedział:

Rys. Józef Tarłowski

— Uczynię wszystko, co należy, aby mężowi ogon twardniał i podnosił się do góry, bo jest człowiekiem zdrowym i silnym. Ale zapamiętajcie sobie, kobieto, że na mężczyznę przenigdy bata brać do ręki nie wolno. Z poniżenia bowiem mężczyzny złe skutki bywają, gdyż świat tak jest skonstruowany, że to kobieta się oddaje, a mężczyzna ją bierze. Tedy musi być wywyższony, a nie poniżony.

— Dobrze — zgodziła się Pasemkowa. — Połamię bat i wyrzucę go, byle tylko mu ogon twardniał.

Poszła do domu Zofia Pasemkowa, ale w głowie jej się nie mieściło, aby poniżenie czy wywyższenie mężczyzny mogło mieć aż tak istotne skutki dla małżeńskiego pożycia. Wiele w swym życiu widziała Pasemkowa i to rozumiała, że niejedna kobieta co to jej mąż bez przerwy dokuczał, a nawet ją od czasu do czasu batem smagnął, niekiedy i większą przyjemność od tego osiągała, ba, ona sama panienką będąc i z sierżantem się zadając, pierwszy raz przyjemności zaznała nie wówczas, gdy ją pieścił, ale gdy ją stłukł. Z Pasemką nigdy takiej przyjemności nie miała, może właśnie i dlatego, że nigdy na nią ręki nie podniósł, choć go kilka razy do tego zachęcała, o byle głupstwa awantury robiąc. Aż wreszcie za bat wzięła i męża biła, bo gdzieś w głębi duszy myślała, że z tego i ona, i on jakąś korzyść otrzymają. Dlaczego więc, jeśli z niejedną kobietą jest tak a nie inaczej, to inaczej bywa z mężczyznami? Ani bić go nie należy, ani poniżać, tylko wywyższać? I nie mogąc sobie z podobnymi myślami poradzić, o naukach doktora opowiedziała babom w sklepie. Dziwowały się i inne niewiasty w Skiroławkach, że mężczyznę wywyższać należy a nie poniżać, bo może to być niebezpieczne dla jego ogona. Zastanawiały się, czy doktor, będąc męskiego rodzaju, stronniczym nie jest w tej sprawie. Z drugiej jednak strony wiedzy doktora żadna kwestionować nie śmiała. Tedy doszły do wniosku, że czas prawdę objawi, czy ogon się Gustawowi Pasemce podniesie, gdy żona bat wyrzuci i złym słowem przestanie go beształ. Aliści pouczenia doktora nie ukryły się przed mężczyznami, i odtąd niejeden, którego żona za to lub owo w ciągu dnia skrzyczała, wieczorem w łóżku pokazywał jej miękki ogon, twierdząc, że to z powodu poniżenia, jakie od żony doznał.

Tymczasem Zofia Pasemkowa trzy razy na dzień zlecone przez doktora kropelki mężowi dawała, a także drażetki i pastylki. Co wieczór też pytała go, czy mu ogon twardnieje, lecz Gustaw Pasemko wciąż mówił, że ogon mu trochę twardnieje, nie całkiem jednak, i tyłem się do żony w łóżku odwracał.

Tak minął tydzień, a może półtora. Któregoś popołudnia doniesiono Pasemkowej, że mąż jej zamiast ryby pod lodem łowić, już trzecie kolejne popołudnie u Porowej urzęduje, za każde urzędowanie wręczając jej siatkę pełną ryb. Niewiele myśląc chwyciła Pasemkowa nowy bat do ręki i co sił pognała przed dom Porowej, gdzie wykrzykiwać zaczęła brzydko i z bata strzelać. Oknem od ogrodu uciekł z mieszkania Porowej Gustaw Pasemko, po lodzie na Czaplą Wyspę dotarł i tam o głodzie i chłodzie siedział, czekając, aż gniew żony przeminie. Pasemkowa dobijała się do drzwi chałupy Porowej, żeby ją batem obłożyć, ale Porowa mocną zasuwę w drzwiach miała, przez co mogła bezpiecznie przez okno wykrzykiwać Pasemkowej, że jej mąż, Gustaw, ma dla niej ogon twardy jak dyszel u woza. Nie jej Porowej wina, że Pasemko woli do swego dyszla inną kobylę przyprząc.

Rozgniewana Zofia potłukła buteleczkę z kropelkami od doktora, do jeziora wyrzuciła drażetki i pastylki. Potem zaś udała się do domu na półwyspie i zażądała zwrotu pieniędzy za leczenie męża.

— Prosiliście mnie, Pasemkowa — tłumaczył kobiecie doktor — abym podniósł ogon mężowi i uczynił go twardym, co też się stało. Ale co on z tym ogonem zrobił, to już nie moja sprawa, bowiem medycyna zna różne przypadki. Ogon męski bywa jak kita u lisa. Jeśli jest w lesie kilka dziur, to przecież nikt nie wie, w której dziurze lisi ogon zniknie.

Zrozumiała Pasemkowa, że nie ma racji, żądając od doktora zwrotu pieniędzy, bo w istocie zrobił to, co do niego należało. A że nie była najgłupszą kobietą, tedy dwa dni odczekawszy syna swego najstarszego na Czaplą Wyspę wysłała i obiecała mężowi, że jeśli do domu wróci, bata na niego nie weźmie, ale dobrą kolacją uraczy. Zaufał jej słowom Gustaw Pasemko i naprawdę bata w domu nie znalazł, tylko kolację sutą. To jedno tylko go za karę spotkało, że odtąd nie miał spać w łóżku ze swoją żoną, lecz na wyrku w oborze, ponieważ zdaniem Pasemkowej po tym, co uczynił, bardziej bydlę niż człowieka przypominał. Oświadczyła mu też żona, że go do łóżka tylko wtedy dopuści, jeśli siatkę ryb jej za każdym razem podaruje. Trzy dni nocował Gustaw Pasemko w oborze, a że jadł w domu dobrze i nikt na niego bata nie brał, ogon zaś nawet bez lekarstw doktora twardniał mu co wieczór i rano, na czwarty dzień przyniósł żonie siatkę pełną węgorzy tak samo jak Porowej. I dostał od żony jak od Porowej. Odtąd — powiadano w wiosce — że u Zofii Pasemkowej prawie każdego dnia można było kupić świeżego węgorza, co dawniej nie bywało. Słusznie bowiem zostało powiedziane, że medycyna zna różne przypadki.

OD REDAKCJI: Otrzymaliśmy kilka listów: Czytelnicy piszą: „Wydrukujcie jakiś fragment prozy Nienackiego! O co ten cały szum?" (Jerzy Siedlecki z Lublina); „Dlaczego Passent tak się czepia Nienackiego?" (Zygmunt Stobielski z Puław).

Drukujemy, bo Czytelnik — nasz pan!

Z BOCZNEJ ŁOŻY

PRAWO WIDZA DO ŚMIECHU

„WIELKIE i nieprzeniknione są obrzydliwości widowiska scenicznego zwanego operetką. Nędza idiotycznego szablonu, mdłej tkliwości, taniego wyuzdania i posępnych dowcipów, chamstwo przepychu, głęboka, czarna nuda odwiecznych sytuacji, barwy smutnych „efektów", [...] cała ta instytucja sceniczna, zwana operetką, powinna być tak gruntownie w odpowiednie miejsce kopnięta, aby się w niej coś przewróciło". Takie otc uwagi na temat sztuki operetkowej wypowiedział niegdyś Julian Tuwim. Słowa to nie tylko obraźliwe, ale wyrażające również potrzebę i konieczność „zreformowania" komedii muzycznej, zastygłej w szablonach banalnej, taniej rozrywki, w przestarzałych, niezmiennych strukturach scenicznych. Julian Tuwim — autor licznych przekładów poetyckich, również tekstów teatralno-kabaretowych, o przeznaczeniu doraźnym, do których nie przywiązywał wagi — w przekłady i adaptacje owych teatralnych staroci wpisywał własną koncepcję nowego rozumienia farsy i propozycje innej jej realizacji scenicznej.

Jedną z cennych tego typu propozycji Tuwima jest przysposobiona dla potrzeb sceny komedia Franciszka Schönthana „Porwanie Sabinek", którą Tuwim przygotował dla teatru „Buffo" w Warszawie w 1938 r. Sztuka przez wiele lat bawiła teatralnych bywalców, przyciągała również publiczność rzadko odwiedzającą teatralne widownie i znacznie wzbogacała kasy teatrów. W ostatnich latach teatry nieczęsto sięgają po tekst „Sabinek" (w Lublinie sztuka była grana przed 20 laty), brak może dzisiaj zainteresowania dla tego typu repertuaru, a może tylko teatry nie wiedzą, że publiczność ma prawo również do śmiechu; zabawy, rozrywki. Wprawdzie nie wiadomo, czy śmiech jeszcze „może być nauką", ale niewątpliwie teatry powinny również i w tym aspekcie myśleć o widzu.

W bieżącym sezonie teatralnym zrealizowano przedstawienie „Porwania Sabinek" w Teatrze Polskim w Szczecinie, ostatnio zaś premierę tej sztuki przygotował Józef Słotwiński w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie (prem. 18 luty br.). Po przedstawieniach podejmujących problematykę sytuacji człowieka w życiu codziennym, w strukturach społecznych, dotykających problemów ludzkiej kondycji („Kartoteka", „Szklana menażeria") — teatr zaproponował lubelskiej publiczności „lekką" sztukę, pełną śpiewu, tańca, nie pozbawioną wesołości, humoru, dowcipów i „konceptów z kalendarza" (dosłownie). Chociaż pod warstwą lekkości, śmiechu i beztroskiej zabawy można również dostrzec w tej sztuce treści umieszczone nieco w głębi tekstu.

Dość wyraźne są dwie przynajmniej warstwy sztuki i jakby dwa światy: farsa, a więc cały ten „świat" objazdowego teatrzyku, prezentującego tandetne sztuczki, które bawią służbę domową i „miejscowych weterynarzy", z postacią dyrektora teatru Leonarda Strzygi-Strzyckiego i aktora do ról amantów, Emila Gromskiego; zaś drugie „dno" komedii — to postać profesora Owidowicza, nauczyciela języków starożytnych w „miejscowym gimnazjum", szarość i ubóstwo jego życia upływającego na sprawdzaniu szkolnych „kajetów" i rozmowach ze służącą Weroniką. Jest swoisty tragizm w postaci profesora Owidowicza, człowieka, który donikąd już nie zmierza, na nic nie czeka (chyba, że na powrót żony z Krynicy), jakby wiedział, że nic się już nie zmieni. Stąd wielką „rewolucją" jest w jego życiu fakt, że staje się „autorem dramatycznym". Popełnioną przezeń w młodości sztukę „Porwanie Sabinek" wystawia objazdowy teatrzyk, któremu grozi klapa. „Kontakt" z teatrem przybiera rozmiary niezwykłego w życiu Owidowicza wydarzenia, choć teatrzyk jest tandetny, niedobry. Chciałoby się, aby w naszym życiu „spotkania" z teatrem bywały zdarzeniem, ale nie dzieje się tak, choć czasem bywamy w „dobrym" teatrze. Nie zmienia on jednak struktur naszego życia, rzadko je wzbogaca. Czyżby zupełnie stępiła się nasza wrażliwość?

Przedstawienie posiada kilka ciekawych ról, doskonale „ustawionych" przez reżysera w formule komedii muzycznej. Włodzimierz Wiszniewski nieustannie prowokuje publiczność do śmiechu, z dużym wdziękiem przekazując bardzo trafne dowcipy, jakich niemało w tej komedii, sytuując postać dyrektora teatru Leonarda Strzygi-Strzyckiego na pograniczu kabotyństwa i tragizmu. Na szczególną uwagę zasługuje postać służebnej Weroniki (Barbara Koziarska), zagrana z dużą sprawnością, zarówno w zakresie przekazywania tekstu, jak i ruchu scenicznego. Aktorka obdarza postać, niezbędną tego typu rolom, „mądrością", „sprytem", dowcipem.

To muzyczne, wesołe widowisko dzieje się w scenerii „gabinetowej", typowym „pudełku", ale otwartym na „lokalizacje". Liliana Jankowska zaprojektowała wnętrze, w jakim teatr przywykł grać komedie; pokój z kanapą, lustrem, biurkiem, sztucznymi kwiatami i niezbędnymi drzwiami do kuchni, za którymi wiadome „kuchenne schody"..., a więc wszystko, w co powinna być „wyposażona" sztuka komediowa. Dekoracje są w znacznej części malowane (jak z dziewiętnastowiecznego teatru), obrazują fragmenty architektury miasta Lublina, sytuują zatem komedię w miejscu i czasie (tekst również), być może czynią przez to „bliższą widzowi".

Publiczność chętnie przybywa na przedstawienia „Porwania Sabinek" i przyjmuje je entuzjastycznie. Spektakl przyciąga nawet widzów, którzy rzadko bywają w teatrze, albo — jak ja — nie lubią komedii (nie lubię komedii" to znaczy chyba nie umieć się śmiać, to jednak swoiste upośledzenie).

Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie. Franciszek Schönthan — „Porwanie Sabinek". Barbara Koziarska — Służąca Weronika i Krystyn Wójcik — Profesor Owidowicz.

Fot. Zbigniew Zugaj

Zgodnie z życzeniem Tuwima i dzięki jego zabiegom adaptacyjnym, coś się zapewne „przewróciło" w owym starym widowisku muzycznym „Porwanie Sabinek", skoro może jeszcze dzisiaj interesować teatry i bawić publiczność. Widownia teatralna Lublina będzie umiała z pewnością docenić i walory starej komedii, i pracę realizatorów przedstawienia, którzy doskonale przełożyli na kategorie sceniczne pomysły fabularne Franciszka Schönthana i inscenizacyjne Juliana Tuwima.

Lidia Wójcik

Zgrzyt pod nożem

Dokończenie ze str. 5

Przyniesiono kolację — talerz pełen ryżu oblanego sosem z wetkniętym z boku kiszonym ogórkiem. Doktor bez ochoty wziął łyżkę do ręki, gdyż ze sztućcami też nie było najlepiej. Dojadł do połowy talarza. Odsunął naczynie na brzeg biurka. Na chwilę ściągnął brwi.

— Najbardziej boją się śmierci nauczyciele i księża — powiedział. — Nie wiem, dlaczego.

Zamilkliśmy.

— A propos — odezwał się znowu. — Sala operacyjna to miejsce święte. Obowiązuje cisza i powaga, bo zawsze odbywa się w niej dramat. Zawsze jeden człowiek walczy o życie drugiego. Wszystko jedno, czy chodzi o wyrostek robaczkowy, czy o co innego. Obowiązuje rygor. Nie można bez czepka, bez fartucha, w normalnych butach. Tak jest. I powiedzmy, że trwa operacja. Chory wypina brzuch, pod ręką czuję, że się budzi. Nie ma tlenu. Telefon po mechanika, który w czasie operacji wchodzi w buciorach, na gazie. — Gdzie ten tlen? — się pyta. Czy mogę mu w ogóle coś powiedzieć?

— Inna zmora — zmienił temat doktor — rejonizacja. Pierwsze pytanie lekarza: panie, skąd pan jest? Chłopina mówi. O, to nie do nas. Chłopina prosi. Panie, słyszał pan? Nie do nas. Tak się robi, jakby człowiekowi nie przysługiwało prawo wyboru lekarza. Dlatego powtarzam młodszym kolegom: — Dla ciebie skierowaniem jest choroba człowieka. Inaczej chory szuka dojścia pieniędzmi. — Panie doktorze, ja chciałbym na osobności. — I prowadzi pod sracz. To jest dla lekarza upokorzenie. I skądinąd ze strony lekarza draństwo, jeżeli od pieniędzy uzależnia pobyt w szpitalu, albo z góry bierze pieniądze za operację. Pacjent, jeżeli wyczuje, zawsze da pieniądze, żeby się lepiej operowało. Przyniesie pięć jajek, koniak, wdzięczność pod postacią cielęciny. Każdy upokarza na miarę swoich możliwości. A ja biorę te napiwki, chociaż jestem wysoko kształcony i dyplomowany, tak? Tak właśnie wygląda zawód niegdyś prestiżowy. A może ktoś przejmuje się, że pięć godzin stoję przy stole operacyjnym pod dziewięcioma żarówami i nie mogę obetrzeć potu? Każda moja pomyłka może kosztować czyjeś życie, nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy luksus bezmyślności. I co? Biorę za to wszystko napiwki.

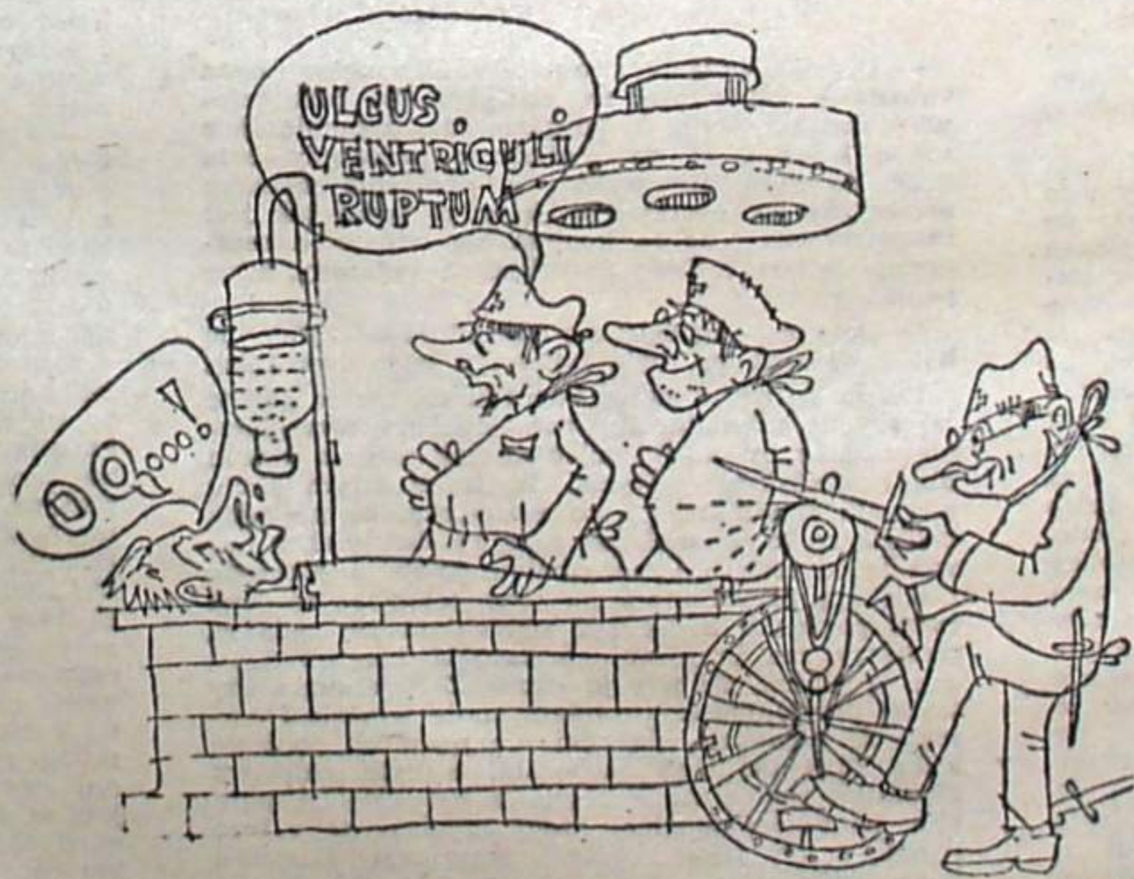

Rys. Józef Tarłowski

— A bierze pan?

— Biorę. Pewnie, że biorę. Jak pacjent sam przyjdzie, wychodząc ze szpitala. Biorę, choć nie chciałbym brać.

— Dlaczego pan bierze?

— Bo moja praca jest najuczciwsza na świecie. Nie mogę zamknąć brzucha, jeżeli jest krwawienie, jeżeli źle coś zrobię. Bo kłamstwo chirurga zawsze wyjdzie, gdyż nie można przewidzieć okresu pooperacyjnego. Czasem nawet największa sława chirurgiczna się wykłada i nie wie, dlaczego. Dlatego chirurg, jeżeli chce być ukrywa przed nim swojej słabości.

— Jak mają się napiwki wobec tak wspaniałomyślnego myślenia?

— Nie przystoją mu. Ale z drugiej strony pojawia się pytanie — ile jesteśmy warci? Przed paroma laty kolega operował cudzoziemkę i okazało się, że jego usługa za operację pęcherzyka żółciowego została wyceniona na trzydzieści pięć tysięcy złotych, płatne w dolarach do kasy szpitala. Resekcja żołądka według cennika dla obcokrajowców kosztowała wówczas czterdzieści dwa tysiące złotych. Co on miał za tę operację? — kilkaset złotych za dyżur. Przed rokiem lekarze zgłosili projekt szpitala spółdzielczego. Nie przeszedł. Ale szewc może mieć zakład, są prywatne restauracje, stacje obsługi samochodowej i tak dalej. A szpital nie może być prywatny, choć we wszystkim pacjentowi byłoby w nim lepiej. Lekarzom zresztą też. Po pierwsze, nic by się w takim szpitalu nie marnowało. Ani butelki po płynach do przetaczania, ani porcje wydawane na oddział według stanu pacjentów, a nie według ich potrzeb, ani nie byłoby byle jakiego jedzenia, takiego, jakie dziś dostałem. Gdybym miał dziesięciołóżkowy oddział, już by mnie tu nie było i w kąt bym rzucił całe moje naukowe aspiracje. Pracowałbym jako fachowiec za pieniądze odpowiednie do moich umiejętności.

— Nie myślał pan o wyjeździe za granicę?

— Ja?

— Przepraszam.

— Nie szkodzi. Wracając do tematu, może szokującego, gdyż szczycimy się bezpłatną służbą zdrowia, pani myśli że nasze kliniki są państwowe? To są kliniki należące do ludzi prowadzących leczenie. Państwowy jest tylko sprzęt, narzędzia, lekarstwa, wikt i opierunek. Ale pieniądze za to wszystko nie są już państwowe. Może źle mówię?

— Nie każdego służba zdrowia kosztuje tak, jak ma pan na myśli.

— Jaka służba? Służący skończyli się przed wojną. Dlaczego służba? Jestem wykwalifikowanym pracownikiem lecznictwa. W lecznictwie pracujemy ciężko i na dodatek jesteśmy obciążeni odpowiedzialnością. Czas skończyć ze stereotypowym myśleniem. Co ja zresztą będę strzępił język?

Do gabinetu zajrzała salowa w czepku koloru morskiej wody.

— Już panie doktorze, ale wciąż nie ma anestezjologa — powiedziała.

— O, i tak właśnie jest — mruknął doktor. Był kwadrans po północy.

Anna Bocian

Z notesów korespondentów PAP

Finał afery w węgierskim „Toto"

Andrzej Czerkawski

JEDNA z największych i najgłośniejszych afer, jakie miały miejsce na Węgrzech w ostatnich dziesięcioleciach — słynna afera w totalizatorze sportowym — znalazła ostateczne zakończenie.

Sąd Najwyższy, do którego złożyli apelację od wyroku sądu w Budapeszcie obrońcy oskarżonych w tym procesie, utrzymał wyrok w mocy i tym samym aferzyści rozpoczęli odbywanie kary.

Główny oskarżony Jozsef Farago — organizator i „mózg" przestępczej szajki, skazany został na 6 lat więzienia, a jego wspólnicy na kary od 3 do 5 lat.

Przypomnijmy, że cała szeroko zakrojona afera, która objęła zarówno zawodników, trenerów, działaczy, jak i sędziów piłkarskich polegała na „robieniu" meczów figurujących w zakładach bardzo popularnego na Węgrzech „Toto", w który w każdym tygodniu grają miliony ludzi.

Sprytni szuści, kierowani przez „szefa" Farago, a działający w Budapeszcie, kontynuowali swą działalność przez wiele miesięcy, a łupem ich padło nie mniej niż 26 mln forintów „wyciągniętych" właściwie z kieszeni grających. Do owej kwoty trzeba jeszcze dodać 8 mln forintów zagarniętych przez niejako „filię" oszustów działającą na prowincji. Sprawę tę rozpatruje obecnie sąd wojewódzki w Szekszard. Łącznie więc przestępcy zrabowali z „Toto" aż 34 mln forintów.

Tego rodzaju przestępstwo nie miało precedensu w dziejach węgierskiego sądownictwa. Stąd też po trafieniu sprawy „Toto" na wokandę powstały dość istotne zawiłości prawne.

Obrońcy oskarżonych starali się dowieść, że afera ma wyraźnie charakter przekupstwa, gdyż Farago i jego ludzie płacili „honoraria" zawodnikom i trenerom za zwycięstwo drużyny, a przecież prawo nie zabrania nawet osobom prywatnym wypłacania premii piłkarzom za wybitny wyczyn sportowy.

Cała linia obrony zmierzała do podciągnięcia czynu oskarżonych pod kategorię przekupstwa, gdyż węgierskie prawo za tego rodzaju przestępstwa przewiduje niższy wymiar kary, niż za oszustwo.

Jednakże sąd nie podzielił tego toku rozumowania. Stwierdził on, że oskarżeni popełnili przestępstwo przeciwko własności społecznej, że wprowadzili celowo w błąd zarówno organizatorów „Toto" jak i grających, a więc ich czyny noszą wyraźne znamiona oszustwa i z tego też paragrafu zostali skazani.

Miliony ludzi grających na Węgrzech w „Toto" z ogromnym zainteresowaniem śledziły zarówno przebieg procesu, jak i jego finał. Ale najważniejsza była dla nich sprawa zwrotu pieniędzy, zagarniętych przez przestępczą grupę. Sąd swym wyrokiem postanowił, że tę ogromną kwotę skazani mają zwrócić i że pieniądze te powiększą fundusz wygranych, dzięki czemu w pewnym sensie „wrócą" do grających w „Toto".

Trzeba jednak stwierdzić, że ta decyzja sądu ma dość teoretyczny charakter. Wprawdzie ruchomy i nieruchomy majątek skazanych zostanie wystawiony na licytację, ale w praktyce zwrot pieniędzy nie będzie sprawą prostą. Oto np. główny oskarżony Jozsef Farago ma zwrócić ni mniej ni więcej tylko... 10 mln forintów. Jednakże — jak dotąd — na poczet owej wpłaty orzeczono tylko przepadek samochodu, jedynego wartościowego przedmiotu zakwestionowanego jeszcze w śledztwie i zatrzymanego do dyspozycji sądu. Wprawdzie Farago posiada jeszcze jednorodzinny dom, ale nie można przecież z niego wysiedlić zamieszkałej tam rodziny oszusta

Podobnie przedstawia się sprawa z pozostałymi skazanymi. Tak więc należy się raczej liczyć z tym, że sumy, które będą wpływać z tytułu odszkodowań od przestępców, nie będą miały większego wpływu na zwiększenie funduszów węgierskiego „Toto". Zaistniała właściwie taka sytuacja, jak w znanym powiedzeniu: „Kasa się zgadza, tylko pieniędzy brak".

Pasjonującym tematem dociekań socjologów i psychologów może być niewątpliwie fakt, że pomimo ujawnienia tego niebywałego skandalu, tej wielomilionowej afery, która przecież „uderzyła po kieszeni" tak wielu ludzi, „Toto" pozostało nadal najbardziej popularną grą na Węgrzech. W ubiegłym roku — właśnie w roku, kiedy ujawniono aferę — znacznie wzrosła ilość sprzedanych kuponów. Łącznie zakupiono ich 244 mln, czyli o 18 proc. więcej niż w 1982 r. Dzieje się tak może dlatego, że obecnie na kuponach figurują wyłącznie mecze drużyn zagranicznych, głównie zaś włoskich i RFN. Nieznajomość tych drużyn i związane z tym trudności z prawidłowym odgadnięciem wyników spotkań spowodowały, że znacznie zmniejszyła się ilość głównych wygranych, a tym samym wzrosły kwoty na nie przeznaczone. W roku ubiegłym najwyższa wygrana wyniosła 3,2 mln forintów, a już w tym roku pewien szczęściarz otrzymał 3,6 mln.

Operacja „Znicz"

Jerzy Górski

PO raz pierwszy w historii sportu Kongres Stanów Zjednoczonych zajmuje się warunkami bezpieczeństwa podczas igrzysk olimpijskich. 8 lutego dyrektor Federalnego Biura Śledczego (FBI) złożył przed Komisją Kongresową raport o podjętych przez amerykańskie służby policyjne i bezpieczeństwa środkach mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa podczas 23 igrzysk olimpijskich w Los Angeles w Kalifornii.

Igrzyska te mieć będą największą widownię w historii ludzkości. Przewiduje się, iż dzięki telewizji satelitarnej igrzyska te obejrzy ponad dwa i pół miliarda ludzi! Do Los Angeles przybędzie ponad 10 tysięcy zawodników ze 150 państw. Przewiduje się sprzedanie 7 milionów biletów od 3 do 200 dolarów. Organizatorzy dysponują półmiliardowym budżetem i zatrudnią 45 tysięcy pracowników.

Ponad pięćdziesiąt różnego rodzaju organizacji i instytucji bierze udział w przygotowaniu olimpiady, co wywołuje sporo konfliktów i nieporozumień. Ale Amerykanie znani są ze świetnej organizacji i należy mniemać, że w dniu 28 lipca wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik.

Administracja federalna codziennie wmawia społeczeństwu, że Amerykanie są głównym celem wielkiej konspiracji terrorystycznej. Prawdopodobnie nie jest to nieuzasadniona obsesja. Po ataku bombowym na kwaterę amerykańskiej piechoty morskiej w Bejrucie, po zamachu bombowym w Kongresie USA, przystąpiono do barykadowania dwóch głównych gmachów administracji w Waszyngtonie — Białego Domu, a więc siedziby prezydenta oraz Departamentu Stanu — ministerstwa spraw zagranicznych.

Teraz największym zmartwieniem jest spokojny przebieg igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Tym, co stanowi przedmiot szczególnej troski organizatorów olimpiady, a nawet swego rodzaju obsesję, jest zapewnienie bezpieczeństwa przede wszystkim zawodnikom.

W Stanach Zjednoczonych nie ma policji federalnej, poza Federalnym Biurem Śledczym — FBI. Bezpieczeństwo podczas olimpiady zapewnione być musi głównie przez policję stanu Kalifornia, policję miejską Los Angeles przy współpracy federalnych służb bezpieczeństwa. Oznacza to, iż kilkanaście urzędów policyjnych i bezpieczeństwa odpowiadać będzie za życie sportowców — uczestników igrzysk olimpijskich.

Organizatorzy przewidują też, iż niezależnie od oddziałów policji mundurowej i tajnej, zatrudnionych zostanie 16 tysięcy specjalnych agentów bez broni, wyposażonych jedynie w miniaturowy sprzęt elektroniczny łączności i ostrzegania.

Na obszarach zakwaterowania zawodników dokonano wizji lokalnej wszystkich pomieszczeń, zarówno pomieszczeń treningowych, jak i mieszkań. Niemalże wszędzie zainstalowano aparaturę ostrzegawczą i alarmową.

Oddziały policji, które sprawować będą główny nadzór nad całością igrzysk, zaopatrzone będą w specjalne wozy do rozładowywania i unieszkodliwiania min i ładunków wybuchowych, w specjalny rodzaj broni, w pistolety maszynowe z czujnikami i aparaturą pozwalającą na walkę w całkowitych ciemnościach. Rząd federalny wyasygnował 50 milionów dolarów na fundusz bezpieczeństwa igrzysk olimpijskich. Suma ta pozwoli na wykorzystanie przez organizatorów olimpiady specjalnych oddziałów wojska.

Przygotowania do igrzysk olimpijskich przebiegają w Stanach Zjednoczonych w atmosferze pewnego podniecenia i sensacji.

W biuletynach medycznych pojawiają się coraz częściej artykuły ostrzegające zawodników przed korzystaniem z jakichkolwiek środków stymulujących nie tylko dlatego, że grozi to dyskwalifikacją, ale przede wszystkim dlatego, że niszczy zdrowie powodując często nieodwracalne zmiany w organizmie.

Ale firmy farmaceutyczne nie dają za wygraną. Podobno przygotowuje się nową „generację" środków stymulujących, niemożliwych do wykrycia aktualnymi metodami analiz. Tak więc z jednej strony przygotowuje się wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa, aby biorącemu udział w igrzyskach olimpijskich zawodnikowi włos z głowy nie spadł, z drugiej zaś w laboratoriach opracowuje się nowe metody treningu, specjalne rodzaje diet z różnego rodzaju dodatkami i stymulatorami, aby „wycisnąć" z zawodnika więcej niż pozwala na to jego organizm i predyspozycje psychiczne.

Wróg publiczny czy bohater?

Piotr Klimaszewski

JACQUES Mesrine, uznany za wroga publicznego nr 1, zajmujący miesiącami nagłówki gazet, ścigany przez wszystkie policje Francji, a wreszcie osaczony i zabity blisko 20 kulami, po przeszło 4 latach powrócił na czoło aktualności. Sprawiła to poświęcona jemu potrójna dawka filmowa i podwójna książkowa, które — nieprzypadkowo zbieżne w czasie — wytwarzają nastrój fascynacji jego osobą i dają początek legendzie już nie superbandyty, a... „idealnego symbolu wolności".

Atmosferę podgrzewa wiele gazet francuskich, które przynoszą nie tylko liczne recenzje i fotosy z filmów, bądź krytyki książek, ale zamieszczają również autentyczne zdjęcia Mesrine'a, ukazujące go począwszy od chłopca w stroju do komunii, aż po trupa podziurawionego kulami w samochodzie.

Nic dziwnego, że przy takiej kampanii reklamowej film jednego z apologetów, André Génovesa, pod prostym tytułem „Mesrine", wszedł jednocześnie na ekrany 148 kin w całej Francji, z czego w samym Paryżu idzie przy pełnych widowniach w 19 salach. Tak więc dosłownie na oczach wszystkich tworzona jest przez słynny „rynek zbrodni" nowa legenda, która będzie prosperować nie gorzej niż jej poprzedniczki, epickie opowieści literackie, filmowe, czy telewizyjne o „bandzie Bonnota", o losach przestępczej pary Bonnie i Clyde, czy o Landru, bądź o Al Capone, czy bliższych nam w czasie „ojcach chrzestnych".

Mesrine doskonale pasuje do tej galerii głośnych przestępców, chociaż wywodził się ze względnie zamożnej rodziny, był wykształcony, a ponoć nawet utalentowany. Historię swego życia przedstawił w wydanej parę lat przed śmiercią autobiografii pt. „Instynkt śmierci", która obecnie została wznowiona. Autor wstępu Gérard Lebovici pisze m. in. że Mesrine był „dla Francuzów naszej epoki doskonałym symbolem wolności". Ten „symbol wolności" miał na sumieniu kilka zabójstw, szereg bandyckich napadów, wymuszeń pieniędzy i spektakularnych ucieczek. Ale opisy jego zbrodni nie są w stanie przesłonić dziennikarskich zachwytów nad jego błyskotliwością, sprytem, dowcipem i charyzmą...

Mesrine umiał dbać o swą popularność, efektownie zabłysnąć. Potrafił rzucić dziennikarzom kluczyk od kajdanków, którymi był skuty, zdobyty nie wiadomo jak i przemycony na salę rozpraw, mimo uprzedniej rewizji osobistej. Udała mu się niesłychanie trudna ucieczka z więzienia we Fresnes i to z tej jego części, w której obowiązywały szczególnie obostrzone rygory nadzoru. I właśnie teraz nastąpiło półtora roku ukrywania się, ale i napadów rabunkowych, zamachów, porwań dla wyłudzenia okupu, a zarazem podróży pod nosem policji do Włoch, Algierii, Wielkiej Brytanii, a także wyzwań rzucanych ścigającym w listach z przechwałkami i wywiadach szeroko udostępnianych prasie. Złożyło się to na rodzaj fascynacji, która osiągnęła apogeum po rzeczywiście bezlitosnym zabiciu Mesrine'a, nawet bez próby ujęcia go żywego...

Jakby mało było tej filmowej i książkowej pożywki dla legendy o Mesrinie, francuskie mass media znalazły nową okazję do wałkowania tematu. Oto kilka osób — zarówno związanych z bandytą, jak też jego ofiar — wystąpiło na drogę sądową przeciwko reżyserowi filmu „Mesrine". Ostatnia towarzyszka burzliwego życia bandyty, zresztą ranna od kul policji w chwili, kiedy sam Mesrine ginął, Sylvia Jeanjacquot, zażądała usunięcia wszelkich — a było ich 22 — wzmianek i scen z nią związanych.

Niektóre skargi sąd oddalił, inne częściowo uwzględnił, zwłaszcza przyjaciółki Mesrine'a, nakazując wprowadzenie w filmie odpowiednich cięć. Ale obraz wszedł na ekrany bez żadnych zmian... Reżyser André Génoves nie podporządkował się nakazowi sądu, co może go kosztować po 150 tys. F. za każdy dzień lekceważenia wymiaru sprawiedliwości! Widocznie i on przejął się legendą o Mesrinie i postanowił także wyzwać sąd...

Ryszard Dunin

DOBRANOCKA DLA DOROSŁYCH

Leśny konkurs na dyrektora

Perturbacje są rozliczne
bez persony kierowniczej
i bałagan się wytworzy,
gdy kto nie ma dyrektorzyć.

Podumały więc zające
z Leśnej Rady Pracownicze,
by ogłosić póki pora
leśny wybór dyrektora.

Regulamin uchwalili,
podpisali, ogłosili.

Konkurs szedł nadzwyczaj gładko
i jak szeptał Gil z sąsiadką
szanse też Wiewiórka miała,
ale się coś wycofała.
I o Wróblu była mowa
(gdyż kandydat to na schwał —
na Polanie ciotkę miał).
Jeleń także tęga głowa,
w piasek jej nie będzie chował
Nie osiągnie głosów tyle,
żeby szefem być Motylek.

A o Bąku było cicho,
ale przecież nie śpi licho!

Wreszcie koniec! Wreszcie finał.
Borsuk miejsce to otrzymał.
Zbiera wokół gratulacje,
zaproszenia na kolację.
Zwyciężyły słuszne racje:
Młodość i kwalifikacje,
zapał jego wręcz bezsporny
i stosunek do reformy.

Ale Bąk wciąż kręci głową:
— Albo konkurs będzie nowy,
albo ważne zatwierdzenie
tych wyborów przez zrzeszenie!

Jak się rychło okazało,
zamieszania było sporo.
W Leśnym Grodzie aż zawrzało,
gdyż Bąk został dyrektorem
(choć w konkursie się nie liczył),
bowiem szwagra miał w stolicy.
I jak z akt sprawy wynika —
wszechwładnego imć Królika.

Rys. Józef Tarłowski

MUZYKA MŁODZIEŻOWA

MITY NA BOK

NIEJEDEN sławny muzyk objawia chorobliwą skłonność do mitomanii. Taki „nawiedzony" widzi siebie jako proroka czystej sztuki i głosi płomienne manifesty oczyszczenia jej z przypadkowych „chłamów". Życie brutalnie weryfikuje reklamiarstwo. W jakiś czas po ogłoszeniu takiego manifestu okazuje się, że twórca cokolwiek przesadził i rzeczywistość nie znajduje zbieżności z programem. Coś niby fałszerstwo. Ale to nieważne, bo rozgłos towarzyszący poczynaniom artysty jest tak duży, że nie musi on już oglądać się na takie „drobiazgi" jak rozbieżność z głoszonymi ideami.

Być może zostanę surowo skarcony przez niektórych Czytelników, ale do grupy muzyków robiących zbyt wiele hałasu wokół własnej osoby zaliczę Zbigniewa Hołdysa. Praktyka ostatnich lat dowiodła bowiem, iż realizacja programu zwanego „Perfect" miała służyć głównie lansowaniu Hołdysa jako maga sceny rockowej, wybitnego kompozytora i instrumentalisty. Sam zainteresowany nie grzeszył zbytnią skromnością, oświadczając dziennikarzom, że Perfect jest najlepszą kapelą świata. Nie przeszkodziło mu to wszakże unicestwić jej, kiedy reklama własnej postaci była wystarczająco nakręcona.

Po rozwiązaniu Perfectu król polskiego rocka (jak nazwała go „Polityka") bawił się trochę w publicystę „Non Stopu" oraz był pomysłodawcą i inicjatorem sesji nagraniowej „I Ching". Brało w niej udział aż 12 osób z różnych grup, zaś efektem ich pracy jest dwupłytowy album „Savitoru". O wadze przykładanej do tego wydawnictwa świadczy najlepiej wypowiedź jego twórców: „Myśmy nie zagrali tanga, walca, rock and rolla czy bluesa. Zagraliśmy czternaście utworów, o których nie można powiedzieć, w jakim są stylu. Tak przecież nikt do tej pory nie grał".

Otóż to, wszystko, czym zajmie się król polskiego rocka, musi od razu być niezwykłe, wciągające, wyjątkowe. Może „I Ching" rzeczywiście zrobi furorę wśród młodych kolekcjonerów płyt, ale mnie osobiście nie zachwyca. Samotność człowieka, jego rozterki wewnętrzne i walka dobrego ze złem, czyli tematy owych „niezwykłych" piosenek, stare są jak świat. Gdzież więc ta nowość? Konfucjańska „Księga przemian" w wydaniu znanej spółki autorskiej Hołdys-Olewicz razi mnie miałką filozofią życia. Stąd nie wydaje mi się, by którakolwiek piosenka z podwójnego albumu „I Ching" rzuciła na kolana entuzjastów przebojowej rąbanki w wieku lat 13, bądź też zwolenników bardziej finezyjnych kompozycji, dajmy na to studentów.

Nowe utwory Hołdysa nie są (choć może tego pragnął) znaczącym krokiem do przodu. Nie zawierają też tendencji nowatorskich dla polskiego, cokolwiek już nudnawego rocka. Jednak pomysłodawca sesji „I Ching" sądzi inaczej, do tego zresztą ma prawo.

Z głębokiego przekonania o wyjątkowym charakterze próby artystycznej, jaką podjął, narodził się pomysł stworzenia nowej, ponoć wielce oryginalnej formacji. W jej nazwie znalazły się cztery nazwiska — MORAWSKI (Wojciech — perkusja), WAGLEWSKI (Wojciech — gitara), NOWICKI (Andrzej — bas) i HOŁDYS (Zbigniew — gitara). Na razie grupa odbywa w warszawskiej „Stodole" intensywne treningi i nie koncertuje, ani nie nagrywa. Trudno więc pisać o charakterze uprawianej przez nią muzyki. Według deklaracji składanych przez poszczególnych instrumentalistów, ma być ona wyjątkowa.

Hołdys i spółka zamierzają stworzyć coś zupełnie niespotykanego, oryginalnego, atrakcyjnego, zarówno dla słuchaczy, jak też młodych, undergroundowych muzyków. Życząc im powodzenia w dalszych planach, mimo wszystko pozostanę sceptykiem. Krajowego słuchacza, zapoznanego dobrze z klasyką rocka oraz elektronicznymi nowinkami z zagranicznych płyt, nie tak łatwo można zaskoczyć, nawet jeśli jest się autorem głośnych szlagierów „Autobiografia" i „Nie płacz Ewka".

Podobno Z. Hołdys, bogatszy o doświadczenia ostatnich lat, nie identyfikuje się już z tym, co robił w Perfekcie. Chce spokojnie oglądać co rano swą twarz w lustrze. Znając jego upór i charyzmat, jakim cieszy się wśród nastolatków, można być pewnym powodzenia kolejnego planu. Nurtuje mnie jednak pytanie, na jak długo starczy mu optymizmu, objawianego teraz dumnie w wywiadach prasowych? Oby tylko nie skończył się on z premierą programu kwartetu MORAWSKI, WAGLEWSKI, NOWICKI, HOŁDYS. Nie będę bawił się w Kasandrę i poczekam na pierwsze nagrania radiowe, mając nadzieję, że nie będą one pochodziły z „I Ching".

Istvan Grabowski

Srebro w gaśnicy

OD 26 lat jest celnikiem. Obecnie pełni funkcję kierownika zmiany w Urzędzie Celnym w Przemyślu. Nazywa się Jerzy Kasperski i należy do najstarszych stażem i najbardziej zasłużonych pracowników urzędu.

— Nie zaprzeczy pan, że otrzymujecie sygnały, iż ktoś tam wiezie nieco więcej niż przewidują przepisy.

— Oczywiście. Nadchodzą anonimy, odbieramy też telefony, że „właśnie dziś wasze przejście graniczne zamierza przekroczyć Iksiński, który w bagażniku wiezie skarb".

— I potwierdza się?

— Czasami sygnał jest chybiony, ale niekiedy trafny. Bo widzi pan, na przykład podczas mojej jednej zmiany bywało już tak, że dwunastu celników odprawiło w ciągu 12 godzin ponad 5 tysięcy samochodów, czyli ok. 15 tysięcy osób. W takiej sytuacji nie ma mowy o dokładnej kontroli każdego. Możliwa jest tylko kontrola wyrywkowa.

— To proszę mi powiedzieć, kogo bierzecie wtedy „na warsztat": bruneta czy blondyna, kobietę czy mężczyznę, właściciela forda czy małego fiata?

— Celnikowi, który ma rutynę i odpowiedni staż, wystarczy zajrzeć do jednej torby podróżnego i już wie w jakim celu jedzie on za granicę. A poza tym powiem szczerze: patrzymy na rejestrację samochodu, na zachowanie jego właściciela, interesuje nas miejsce pracy podróżnego, jak często wyjeżdżał za granicę, ilość i sposób pakowania bagażu, a także pierwsza rozmowa. To wszystko daje nam obraz człowieka i niech mi pan wierzy — rzadko się mylimy.

— Co ma z tym wspólnego rejestracja samochodu?

— Bardzo wiele, gdyż są takie regiony i miejscowości, z których wywodzi się najwięcej przemytników. Dla przykładu — mieszkańcy Łodzi czy Pabianic mają więcej możliwości nabycia towarów „chodliwych" za granicą, przede wszystkim odzieży, kap, parasolek itp.

— Gdybym zapytał pana, co teraz najczęściej usiłują wywozić handlarze, to zapewne miałby pan obawy, że taka odpowiedź będzie instrukcją dla innych, chociaż jest to tajemnica poliszynela. Wiadomo jednak, że są i tacy przemytnicy, którzy zawsze mają nowe pomysły i mogą zmylić celnika. Nie dziwił się pan na przykład, gdy niedawno wożono do Rumunii gwoździe do podków, na które ponoć papuć był niesamowity?

— Po tylu latach pracy, to ja się już tak prędko nie dziwię. Z gwoździami to znana sprawa, ale dam panu inny, bardziej zaskakujący przykład. Kiedyś jechał do Rumunii mężczyzna, który wiózł w bagażniku 30 kg tłuczki szklanej z baniek choinkowych. Wkrótce jechał następny, który miał tej tłuczki 80 kg. Przepisy nie ograniczały ilości tego materiału wywożonego za granicę, więc nakładaliśmy tylko odpowiednie należności celne. Okazało się, że w Rumunii tłuczkę można było sprzedać po bardzo korzystnych cenach, jako dodatek do elewacji budynków, służący po to, aby lśniły one w słońcu. Za uzyskane tym sposobem leje szmuglowano do kraju dolary lub kożuchy i był to ponoć bardzo dobry interes.

— Przemytnicy chętniej podróżują samochodami czy koleją?

— Nie ma reguły, ale samochód to jest taki pojazd, który z natury rzeczy ma wiele skrytek. A poza tym niektórzy przystosowują jeszcze samochody do przemytu. W swojej praktyce spotkałem się już z podwójnym dnem w baku benzynowym, w progach starej „Warszawy" znalazłem 80 peruk, a kiedy poprosiłem o zdjęcie prawego koła w jednym z aut — przy czym zadziałała tu wyłącznie moja intuicja — stwierdziłem, że jest tam prawdziwy magazyn z zawartością najrozmaitszych, nielegalnie wywożonych przedmiotów. Bywa i tak jednak, że niekiedy przyjmujemy za dobrą monetę oświadczenie podróżnego, który zapewnia nas, że nic nie wywozi. A potem ten sam człowiek wraca pieszo po kilku godzinach, ponieważ za granicą został skontrolowany i zakwestionowano mu samochód, jako przedmiot przestępstwa. W jednym momencie człowiek, który chciał lekko zarobić, traci dorobek całego życia, gdyż kary za przestępstwa celno-dewizowe mocno biją po kieszeni.

— Czy może pan opowiedzieć o swoim największym sukcesie zawodowym, o którym wspominali mi pana koledzy. Chodzi o tę gaśnicę w pociągu...

— Nie określam tego mianem sukcesu. Było to dosyć efektowne zdarzenie i dlatego pozostało w pamięci kolegów. Kontrolowałem kiedyś osoby udające się pociągiem za granicę. Nie wiem jak to się stało, ale uwagę moją zwróciła zwyczajna, wisząca na ścianie gaśnica. Zdjąłem ją i od razu spostrzegłem, że jest wyjątkowo ciężka. I nie dziwnego, gdyż w środku było... 20 kg srebra, 4 kg azotanu srebra oraz pasta do polerowania diamentów!

Rozmawiał:
Jan Miszczuk

Okolice sztuki

PÓŁ WIEKU TWÓRCZEGO ŻYCIA PANA HENRYKA

W SALACH BWA otwarto 29 marca wystawę malarstwa i grafiki użytkowej Henryka Zwolakiewicza, urządzoną w 50-lecie twórczości znanego u nas, cenionego i lubianego artysty który w przeszłości zajmował się także etnografią i ciągle manifestuje bibliofilski sentyment do pięknej książki.

Często ostatnio przebywając poza Lublinem, obejrzałem ekspozycję dwa dni później, kiedy oleje, tempery, akwarele i gwasze kryły się w ścianach przybytku pod wizualnym naporem kilkunastu reflektorów teatralnych, rozwieszonych na różnych poziomach tej przestrzeni i połączonych długimi metrami kabli. Środek dużej sali pokrywały filcowe bodaj maty, na jakich zazwyczaj hasają karatecy, tłumacząc cherlakom, że celne uderzenie w stos pacierzowy to filozofia. Okazało się wszakże, że te wszystkie rekwizyty wyznaczały tylko scenę zapowiedzianych występów lubelskiego Teatru Wizji i Ruchu, który — jak wiadomo — upodobał sobie w pantomimicznych dywagacjach na temat sztuk plastycznych. Obrazy pana Henryka wystąpiły więc okazyjnie w roli tła przedstawienia, sądzić można — za zgodą ich twórcy.

Sporo zrobiono, by u a t r a k c y j n i ć wystawę. Oszczędzono np. publiczności bezpotrzebnego trudu zrozumienia genezy i historii przeobrażeń tego malarstwa. Posłużono się przy tym metodą tyle znaną, co prostą: nie zaopatrzono poszczególnych obrazów w karteczki z tytułami i datami powstania prac, kwitując sprawę wzmianką w tzw. „Informatorze", że prezentuje się oto dorobek Zwolakiewicza „w możliwie pełnym kształcie od roku 1968 do chwili obecnej", co zresztą także okazało się mieć pretensje do oryginalności, albowiem w ekspozycji znalazły się i prace znacznie wcześniejsze. Dzięki takim zabiegom wystawa nabrała znamion telewizyjnej „Wielkiej gry" za małe pieniądze (bilet wstępu), zmuszającej ewentualnych uczestników do nie lada wysiłku intelektualnego w momencie ustalania proweniencji np. pejzażu z rzeczką, mostkiem i fabryką — namalowanego spokojnie, płaską plamą bladych czerwieni i błękitów na sposób realistyczny, a wiszącego dwa kroki od obrazu z motywem kazimierskiej fary, który został wprost wyrzeźbiony w brązach, czerniach, szarościach i bielach grubo położonej farby, przywołując zaledwie sugestię wspomnianej architektury. Przedmiotem zastanowienia mogły być właśnie daty namalowania owych płócien, podpowiadające odpowiedź na ważne pytanie: czy artysta równolegle kreował tak odmienne kompozycje, inaczej mówiąc — czy szamotał się w poszukiwaniu własnego znaku rzeczywistości?

Na wszelki przypadek podaję, że „Bielsko Fabryczne" powstało w 1953 roku, a zatem w czasach realizmu socjalistycznego, natomiast „Fara II" — czternaście lat później, wtedy, kiedy artysta często jeszcze odwiedzał miasteczko nad Wisłą, gdzie namalował m.in. „Widmo Kazimierza" ujęte w rygory konstrukcji linearno-geometrycznej, tak zdecydowanie określającej i nowsze prace Zwolakiewicza, w tym „Kraśnik" z 1975 roku.

Warto też wiedzieć, że wiele świetnych, wrażliwie poprowadzonych akwarel autora kolorystycznego „Miasteczka poznańskiego" (1961) powstało na ogólnopolskich plenerach koło Jeleniej Góry, dokąd Zwolakiewicz wyprawiał się chętnie, nie bacząc na trudy podróży, szczególnie chyba uciążliwe dla człowieka zbliżającego się wówczas do osiemdziesiątki. „Od młodości ciągnęło mnie do grafiki i akwareli, na której temat chciałbym się jeszcze wypowiedzieć jeśli nie w praktyce, to w słowie", powiedział, jak zanotowałem, 20 lutego 1982 roku.

Przypomnijmy, że po raz pierwszy wystawiając publicznie, w gdyńskim Wakacyjnym Instytucie Kultury, Zwolakiewicz pokazał właśnie akwarele, które tak oto skomentował inny artysta lubelski, Witold Boguski: „No to jest pan moim kolegą!"

Daty w sztuce to ważna rzecz. Naprawdę nie jest sprawą obojętną dla zrozumienia postawy i struktur wypowiedzi np. Tadeusza Konwickiego, kiedy napisał on „Przy budowie" (1950), kiedy zaś — „Małą apokalipsę" czy „Kompleks polski".

I w związku z tym warto zapamiętać, że już w 1949 roku Zwolakiewicz doprowadził do otwarcia ekspozycji pt. „Sztuka dziecka", imprezy wszak pionierskiej na naszym gruncie. Jak zapisano w protokole jednego z ówczesnych zebrań zarządu ZZPAP, Władysław Filipiak postawił „konkretny wniosek o wyrażenie uznania koledze Zwolakiewiczowi za pełne pietyzmu i entuzjazmu organizowanie wystawy. Wniosek przyjęto jednogłośnie".

I nie wolno też przeoczyć, że Zwolakiewicz był pierwszym plastykiem w Lublinie, który z rozmachem, na serio i z pięknym skutkiem podszedł do kwestii grafiki akcydensowej, projektując ponadto i regularnie okładki czasopism i książek oraz plakaty.

Wspominając „Sztukę dziecka", wypada dodać, że artysta nieprzypadkowo interesował się taką twórczością. Całe dojrzałe życie Zwolakiewicz zajmował się bowiem pracą pedagogiczną, choć po ukończeniu seminarium nauczycielskiego wcale nie myślał o belferce. Okresowo studiował nawet architekturę w krakowskiej ASP, którą opuścił wszak przedwcześnie z powodów tyle wtedy zwyczajnych, co zasadniczych: żył w biedzie, głód oszukiwał obiadami za 20 groszy (u „zytek"), sypiał na podłodze 10-osobowej sali, gdzieś na peryferiach Krakowa, a poza tym czuł niechęć do matematyki i geometrii wykreślnej. Ostatecznie osiadł w Kolonii Trębaczów koło Łęcznej, gdzie w latach 1924-1925 nauczał w szkole wiejskiej, no i poznał swoją przyszłą żonę. Poza tym rysował: kapliczki i krzyże przydrożne, do których docierał rowerem. Kogo interesują te szkice, niech sięgnie do poznańskiej „Tęczy" (1929 z. 39), albo odwiedzi Gabinet Rycin naszego Muzeum Okręgowego — pamiętając, że dzięki tym rysunkom autor stał się słuchaczem warszawskiego Instytutu Pedagogicznego Robót Ręcznych. Uczył się zresztą i później: w lubelskiej szkole malarstwa Ludwiki Mehofferowej, a po wojnie — w stołecznej ASP (dyplom pedagogiczny w 1958 r.). No i ciągle sam wykładał, najdłużej — w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie (1950-1968), którym także kierował...

Na pojedynczych obrazach pana Henryka dostrzec można było daty ich powstania, zaznaczone własnoręcznie, lecz czasami niewyraźnie („Fara II"), przez samego artystę. Proszę wszakże wiadomą instytucję o zapamiętanie tych moich uwag, albowiem powinny się przydać w momencie organizowania następnej wystawy jubileuszowej Zwolakiewicza, powiedzmy — za lat dziesięć. Serdecznie życzę panu Henrykowi, by doszła ona do skutku.

IJK

Krzyżówka nr 9
z szyfrem

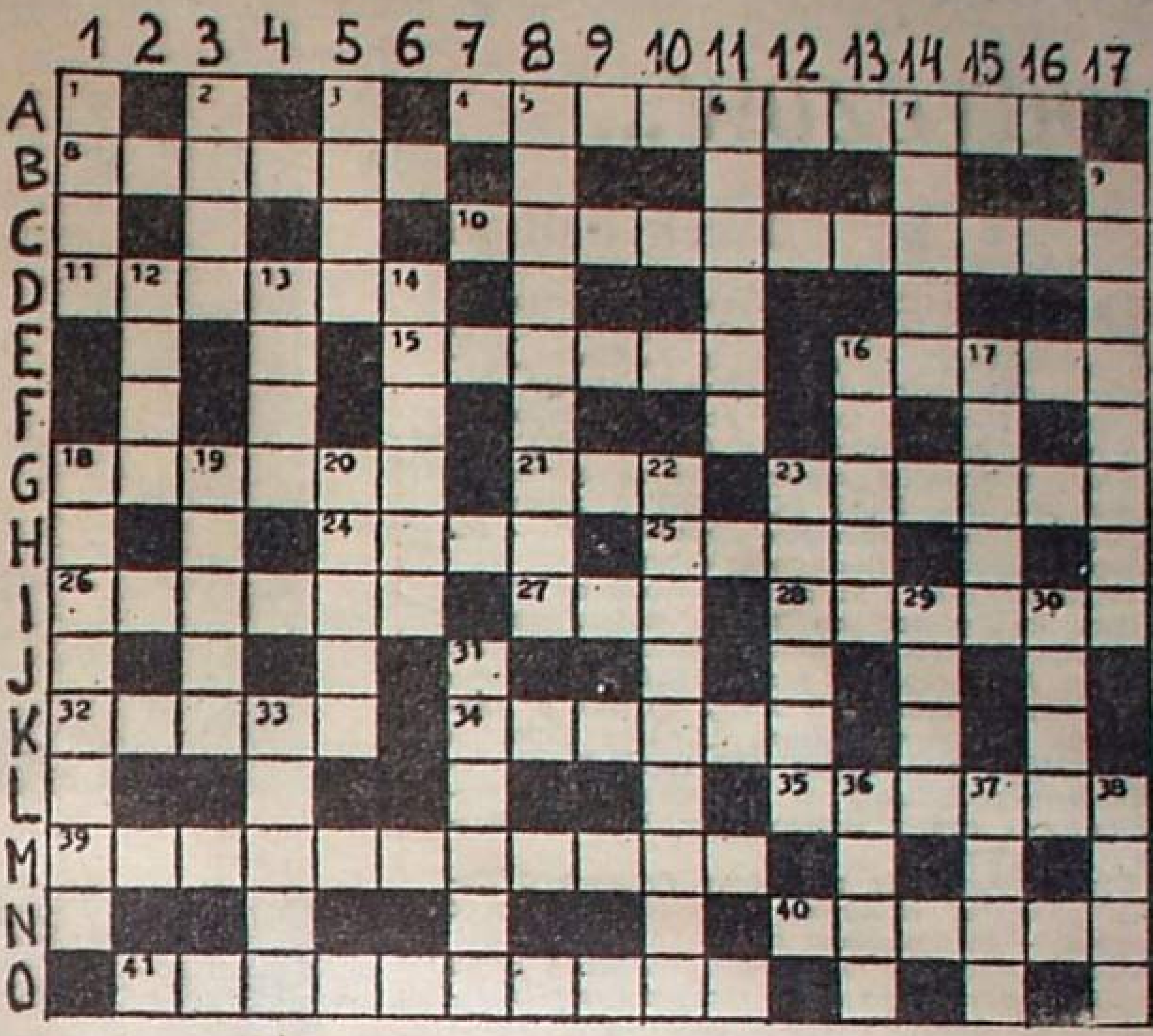

Po rozwiązaniu krzyżówki odczytać tekst z powieści współczesnego polskiego pisarza według podanego szyfru.

Wyrazy pomocnicze

Poziomo: 4. wielkie miasto portowe nad Amurem w ZSRR, 8. dom ślimaka, 10. obrót literaturą, 11. miasto wojewódzkie, 15. w rzece lub wannie, 16. ustawienie wzajemne szczęk, 18. kraj, który patronuje zatoce i tygrysowi, 21. od zachodu do wschodu słońca, 23. do wymiany w dyskusji, 24. sędzia muzułmański, 25. zgromadzenie z okazji, 26. dawny żołnierz konny, 27. umiera w Peer Gyncie, 28. stolica jednego ze śląskich okręgów węglowych, 32. płyn ustrojowy, 34. miłek, 35. ma swą kolumnę w Rzymie, 39. poeta, historyk polski działający w okresie Oświecenia, 40. pierścień rodowy, 41. tygodnik.

Pionowo: 1. żył w jamie wawelskiej, 2. stolica europejska, 3. zbiór, 5. państwo europejskie, 6. państwo ludowe w Afryce, 7. czterokołowy pojazd konny bez resorów, 9. ład, 12. piękne kwiaty, 13. dolna powierzchnia pokładu kopaliny, 14. ważna część mikroskopu, 16. polska waluta, 17. zwój, 18. reprezentacyjny hotel w Berlinie, 19. oddanie w użytkowanie za czynsz, 20. pln. zatoka Morza Czerwonego, 22. hetman z hymnu, 23. roślina pionierska, 29. żona Zygmunta Starego, 30. maleńkie narzędzie, 31. coś na stół, 33. pierwiastek korzystny dla uzębienia, 36. stolica europejska, 37. rzymska Hera, 38. litera muzyczna.

Szyfr

B11, C9, E10, A14, E9, H17, O13, G10, I9, I13, B17, A9, I15, B1, B14, G12, B8, E7, C15, F17, D1, G8, M7, E3, A16, C10, O17, K1, O11, L17, I2, A5, O8, C16, O9, N4, K3, H3, E4, F11, M1, K12, E17, E2, M5, J7, F4.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 7

Poziomo: Kostrowicki, farba, Dafne, żeglarz, pościel, Inari, onuce, antyperz, palnik, retman, atleta, lawina, motocykl, baron, rondo, nosidło, karczma, pawie, Chiny, Kostrzewski.

Pionowo: patelnie, kalarepa, kądziel, Sofia, Rzepin, wieś, cęgi, implozja, cypel, Raków, tran, Andy, Nullo, romantyk, mroki, taboryci, Taormina, Irokezi, krople, nawis, sens, dwór.

Szyfr

Na ulicy z prefabrykatów także do pisarstwa wkrada się coś fabrycznego.

Adolf Rudnicki
„W Krakowie"

Nagrodę otrzymuje Mariusz Piecuch, 36-002 Jasionka 77 k. Rzeszowa.

Poczta literacka

Józef Cz. Kazimierz Dolny. Opanował Pan zasady wersyfikacyjne, z rytmiką wierszy także jest nieźle, a mimo to nie spotkałem w tych utworach zbyt wiele poezji. Czy tylko przyroda jest obiektem Pańskich młodzieńczych obserwacji? Tak wielu przez tysiąclecia ją opisywało, iż trudno dzisiaj wyrazić cokolwiek nowego. Czy człowiek nie jest godny Pańskiego pióra? A może zespolenie jego z naturą dałoby lepsze efekty? Za jakiś czas niech Pan prześle nową porcję swojej twórczości.

Paweł M. Zamość. Namawiałbym Pana do większej tolerancji dla współczesnych poetów i ich utworów. Młody Mickiewicz także się nie podobał zbytnio ówczesnemu społeczeństwu, a Norwid już wcale. Może więc niektórzy spośród awangardzistów naszego czasu wnet znajdą uznanie? Ponieważ traktuje Pan sprawy poruszane w liście do Działu Literackiego z humorem, wierzę, iż pozwoli Pan im pożyć i tworzyć. Dziękujemy za żartobliwe uwagi pod adresem „Kameny". Mamy nadzieję, że kiedyś odzyskamy objętość, zmienimy częstotliwość wydawania, a wtedy będzie miejsce i na lepszą szatę graficzną, i na więcej prawdziwej liryki. Z Pańskimi wierszami zapoznałem się z przyjemnością.

Krystyna Elżbieta Ch. Gdynia i Robert L. Lublin. Nie ma o czym mówić.

*

Uwaga! Mimo moich próśb nadal wielu moich miłych korespondentów nadsyła nieczytelne rękopisy i adresy. Niektórzy przysyłają maszynopisy, ale tak gęsto zapisane, iż trudno się w nich rozeznać, pomóc autorowi w dopracowaniu, np. prozy. Pragnę przy tej okazji uprzedzić tych wszystkich, którzy dostarczają mi kopie maszynopisów. Mogę chyba domniemywać, że obdarzają tymi samymi utworami dziesiątki redakcji w kraju. Działają więc wszędzie na swoją szkodę, bo który z moich kolegów redaktorów działów literackich może ich traktować poważnie? Przecież mogłoby się zdarzyć, że w tym samym tygodniu w kilku pismach opublikowane zostaną te same wiersze. Nie ma obawy, musiałyby być znakomite — ktoś powie. To prawda, ale wśród setek utworów znajduję niekiedy jeden rzeczywiście dobry. I wtedy boję się go drukować, bo może już gdzieś...

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 10—14.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36230.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-23, sekretarz redakcji 218-23, dział publicystyki i literacki 275-32.
Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 900/84. 9.04.84 r. L-8.

Sprzedaje się trochę słodyczów...

Jacek Gallant

PODGLĄDACZY i podrywaczy przyszło niewielu. Porządkowi, a właściwie jeden „bramkarz", nazywany w Lublinie „Tygrysem", spokojnie oczekiwał dalszego rozwoju akcji. Niestety, w tym roku nie było potrzeby nawet pilnowania drzwi Chatki Żaka. Mamy, które przywiodły swoje córki na eliminacje wstępne konkursu MISS POLONIA'84, zabawiały w hallu towarzyską rozmową „bramkarza" — lubelskiego sobowtóra Rudiego Schuberta.

W ciągu pierwszych dwudziestu minut od otwarcia listy kandydatek do tytułu najpiękniejszej dziewczyny Ziemi Lubelskiej zgłosiło się sześć dziewcząt. Jury, czyli na razie Stanisław Lisiński z „Expressu Wieczornego", Jerzy Hofman z Akademickiego Centrum Kultury „Chatka Żaka" i Andrzej Molik z „Kuriera Lubelskiego", z niecierpliwością oczekiwało na wiadomość o przybyciu kolejnych pań z województw: białskopodlaskiego i lubelskiego.

— Czyżby miała się powtórzyć sytuacja z Zamościa, gdzie na eliminacje przyszło tylko pięć dziewcząt? — zastanawiano się

Worek rozwiązał się w ostatnich minutach przed godz. 15, o której faktycznie rozpoczął się lubelski przegląd „dam wyciągniętych spod opieki mam". Zjawili się również pozostali jurorzy: Krzysztof Torończyk z Teatru im. J. Osterwy, Ignacy Wachowiak z Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej oraz Jerzy Kostka, plastyk.

Dziewczynom wręczono numery od 29 do 54, żeby było bardziej „szpanersko", że niby tyle było kandydatek do tytułu „miss". Muzyka. Dziennikarze siadać z tyłu! Fotoreporterzy, „telewizory" i radiowcy — nie przeszkadzać! Zaczynamy! Pierwsza z osiemnastu „missek" — prosimy na scenę.

— Co pani robi? — rozpoczynają sędziowie przepytywanie zdenerwowanej dziewczyny.

— Sprzedaje się trochę słodyczów, przepraszam słodyczy — odpowiada bufetowa ubrana w biało-granatową sukienkę.

— Czy zna pani jakiś kraj?

— Tak, Francję...

— A może zna pani jakieś miasto we Francji?

— Tak, Gemmę, nawet dosyć duże.

W jury konsternacja. Gdzie leży to miasto, jak tam dojechać?...

— Niech pani określi bliżej, gdzie ono leży? — proszą jurorzy.

— No, to jest duże miasto...

Kolejne pytanie też dotyczy kraju Moliera.

— A zna pani taką słynną katedrę we Francji?

— Chciałabym tam wziąć ślub — mówi kandydatka na „miss".

— Ale jak ona się nazywa? — dociekają panowie.

— Hm, no...

Cisza.

— Notre-Dame — kończą „testowanie" i dziękują z uśmiechem na twarzy.

Następna wchodzi na scenę przyszła pielęgniarka.

— Dzień dobry pani! Czego oczekuje pani od nas? — pyta redaktor Lisiński przewodniczący komisji.

— Sprawiedliwego werdyktu!

— Czy była pani gdzieś za granicą? — pytają członkowie jury.

— Tak, w Czechosłowacji i NRD.

— Co się pani najbardziej podobało w tych krajach?

— Krajobrazy, zwłaszcza góry... Tatry.

— To w Czechosłowacji. A jaki jest najwyższy szczyt Tatr? — ciągną ten wątek.

— Rysy — odpowiada zadowolona z siebie przyszła opiekunka chorych.

— Nie, droga pani. To najwyższy szczyt w Polsce, też w Tatrach — sprowadzają ją z obłoków na ziemię jurorzy.

— A może pamięta pani wysokość tej góry?

— Tak, chyba około 2500 metrów — odpowiada po chwili namysłu dziewczyna. Lubi gimnastykę, pływanie i piłkę nożną. Z zespołów muzycznych — „Budkę Suflera".

Przed sędziowskim stołem siada wysoka, szczupła, ciemna blondynka w miodowej sukience.

— Witamy panią, Dagmaro! Czy wie pani, że imię to jest rzadko spotykane?

— Tak, moja mama czytała kiedyś jakąś książkę i dlatego otrzymałam to imię. Chyba jakiegoś irlandzkiego autora. Nie pamiętam nazwiska — mówi właścicielka miodowej sukienki. Pracuje w laboratorium, chce w tym roku rozpocząć naukę na Wydziale Organizacji i Zarządzania Politechniki Lubelskiej. Zna geografię i w ogóle imponuje jurorom swoją bezpretensjonalnością.

Teraz numer 33. Maturzystka, interesuje się ponoć historią.

— W którym roku rozpoczęła się I wojna światowa?

Cisza.

— A może pani pamięta datę wybuchu II wojny światowej?

Jak inaczej zasiał. Na sali zdziwienie.

— A bitwa pod Grunwaldem! — nadal cisza. — Miejsce zesłania Napoleona? — Panienka zdenerwowała się. Wychodzi.

Siedzący obok jeden z fotoreporterów opowiada historyjkę z wyborów „miss" w Zamościu:

Komisja pyta jedną z kandydatek do tytułu:

— Gdzie by pani chciała pojechać?

Bez odpowiedzi

— Może do Grecji? — podpowiadają jurorzy.

— Tak — odpowiada dziewczyna.

— A jakie miasto zwiedziłaby pani w tym kraju?

— Neapol!

Wchodzą następne panienki. Wszystkie uśmiechnięte. Sukienki w najróżniejszych kolorach. Białe, szare, połyskujące, w pasy szaro-bordowo-granatowe, błękitne, brązowe, czarne ze złotymi i srebrnymi dodatkami. Na nogach — zgodnie z regulaminem — buty na obcasie. Pełna gracja. Panowie, tylko zazdrościć takiej młodzieży, gustownie ubranej i zadbanej! To nie jakieś tam punki czy hippiesi.

Jurorzy skrzętnie notują swoje „typy" na kartkach. Później przydadzą się te uwagi. Pytania zadawane przyszłym „misskom" są z zakresu szkoły średniej. Jak widać i słychać, niebrzydkim dziewczynom było co innego wcześniej w głowie niż literatura, teatr, historia czy geografia.

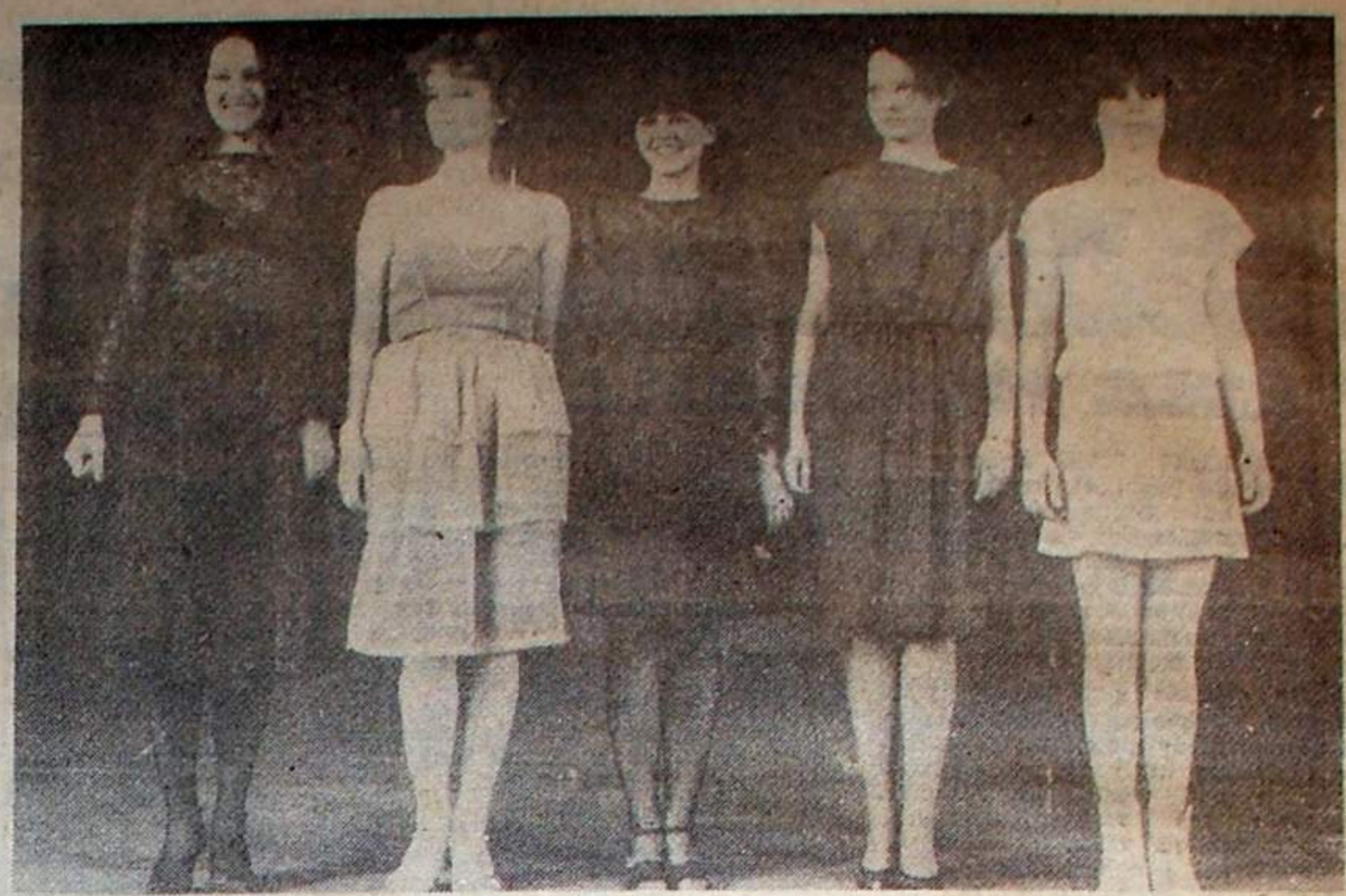

Finalistki w sukienkach...

... i bez sukienek... Fot. Jan Trembecki

Dziewczę nr 35 zaskakuje jurora — K. Torończyka — pytaniem:

— Czy jest pan elektronikiem? Chciałabym zwiedzić Japonię — mówi znawczyni elektroniki.

— By night — dodaje redaktor A. Molik.

Beata zna dobrze Włochy, interesuje się fantastyką. Agnieszka, przyszła położna wie, co to jest pediatria, interesuje się kinem. Jest skromna i chyba tym podbija serca jurorów.

Studentka administracji UMCS nie była w Lublinie w teatrze, ale za to w stolicy i Krakowie. Polskich logików nie musi znać, a tym bardziej autora „jakiejś" prakseologii.

Kandydatka nr 39 lubi Melpomenę i Pitagorasa. Nauki ścisłe to jej specjalność. Po raz drugi komisja została zaskoczona.

Urszula, 176 cm, nie zna dowcipów, ale lubi śpiewać. Na co dzień pracuje w rolnictwie. Chciałaby ujrzeć corridę w oryginale. „Lady Pank" i „Republika" to jej ulubione grupy.

Ekonomistka jest niezła. Wie dużo o bilansie i izbach skarbowych. Podróże i śpiewanie to jej wymarzone zajęcia. K. Torończyk zaprasza do mikrofonu. Płyną słowa na melodię „Córki grabarza". Refren:

Jak tu fajnie jak tu miło
jak wesoło...
Czemu ty ciągle uciekasz
i okrutnie śmieszysz mnie, ha, ha, haaa.

Robi się miło. Prysło zdenerwowanie u dziewcząt, które zapewne usłyszały swoją konkurentkę.

Teraz — przyszła pani dentystka. Uśmiecha się.

— Proszę nam podać wzór chemiczny soli kuchennej? Słuchać tylko szum taśmy filmowej w kamerze TV.

— A wzór alkoholu, może być etylowy lub metylowy? — nalegają członkowie jury.

— ???

— Czego wobec tego obawia się pani na egzaminie na AM?

— Chemii — odpowiada zdenerwowana.

Przed jurorami Renata albo Balbina — jak nazywa ją szwagier. Już idąc po scenie, zwraca uwagę wszystkich. Pewny zeskok z kilku stopni i konwersuje z szóstką przedstawicieli świata kultury. Ubrana na czarno, ażurowo. Czarne włosy i taka oprawa oczu ładnie harmonizują. Kokietuje. W niedalekiej przyszłości zostanie technikiem budownictwa wodnego. Zaskakuje znajomością poezji Szarzyńskiego. Deklamuje poprawnie „Epitafium Rzymowi". Wyszło super. Zna też Witkacego. Pewny awans do Warszawy.

Elżbietka, 164 cm, jest chyba najmilszą i najsympatyczniejszą dziewczyną wyborów. Nauczycielka

— Chciałoby się mieć taką żonę — marzą głośno niektórzy.

Mają rację. Dziewczyna, oprócz aparycji i bardzo „ciepłego" sposobu bycia, ma też wiedzę.

Adeptka teatralna z Lublina otworem, zna literaturę, interesuje się egzystencjalizmem, ale nie wytrzyma chyba konkurencji. Jest miła i starannie ubrana, w niebieską sukienkę do blond włosów.

Na scenie — ubiegłoroczna wicemiss Lubelszczyzny i Bieszczad.

— Witamy, zapraszamy, proszę siadać! — panowie w komisji prześcigają się w zaproszeniach.

— Czy widzi pani różnicę w przebiegu konkursu?

— W tym roku jest milej. Lepsza reklama, bardziej interesujące dziewczyny.

— To dlatego że ja pisałem — nie wytrzymuje redaktor z „Kuriera" „Wicemiss" uważa, iż do konkursu zgłosiły się ładniejsze dziewczyny niż w roku ubiegłym. Lubi biegać i tańczyć Ignacy Wachowiak „bierze w ramiona" dziewczynę. „From me to you" — śpiewają do tańca „Beatlesi". Taniec trochę nie wychodzi, ale to drobiazg. Nie każdy może dorównać od razu mistrzowi.

Koniec pierwszej fazy eliminacji — przedbiegów w sukienkach. Teraz jurorzy zadecydują, które panienki wystąpią w kostiumach kąpielowych. Liczenie punktów idzie sprawnie. Aby kandydatka przeszła, musi dostać „tak" przynajmniej od trzech jurorów. Odpada pięć dziewcząt. Zostaje trzynaście.

Rozmawiam z tą „piątką" w szatni. Nie są zmartwione. Chciałyby, miały zresztą cichą nadzieję, że może zakwalifikują się dalej, ale nie wyszło. Trudno. Może w przyszłym roku będą miały więcej szczęścia...

Po przerwie wychodzą dziewczęta już w strojach kąpielowych. Muzyka. Szczęśliwa „trzynastka" tańczy. Wybijają się w tym „teamie". Renata, Liliana i Agnieszka. Jeszcze jedno wyjście „trójkami". I czekamy na werdykt kolegium. Dziennikarze i fotoreporterzy próbują sił we własnej loteryjce.

Jest decyzja jury. Do Warszawy na finał regionalny MISS POLONIA'84 pojadą: Dagmara Dera — laborantka z Puław, Agnieszka Rola — uczennica z Lubartowa, Renata Jurak — nauczycielka z Lublina, Elżbieta Grzesiak — nauczycielka z Puław i Liliana Sagan z Lublina. Pamiątkowe zdjęcie finalistek w kostiumach i sukienkach. Jurorzy składają gratulacje. Finalistki rozpromienione. No cóż, najpiękniejsze...

Obserwując tegoroczne „zmagania" kandydatek, odniosłem wrażenie, iż większość z nich nie traktuje konkursu jako dobrej zabawy, ale jako sposób na zrobienie „kariery" i dowartościowanie się. Pierwsze trzy „misski" finału głównego w Warszawie dostają pewne gratyfikacje pieniężne od firm polonijnych, które wspomagają organizatorów (czyli „Express Wieczorny" i „Telewizję Polską"), a także można wpaść „w oko" jakiemuś bogaczowi, który przyjdzie popatrzeć na Polkę biorącą udział w Miss World czy Universum... Byłoby jeszcze dobrze, gdyby nasze polskie piękności umiały znaleźć więcej niż siedemnaście słów, z których piętnastoma posługują się na co dzień.